

NAJWIĘKSZY MAGAZYN KRYMINALNY W POLSCE

STYCZEŃ 2022

DETEKTYW

JESTEŚMY Z WAMI OD 1987 ROKU

1

425

Cena 5 zł 90 gr
(w tym 8% VAT)



ISSN 0860-4436



9 770860 443200

01

INDEKS 355550

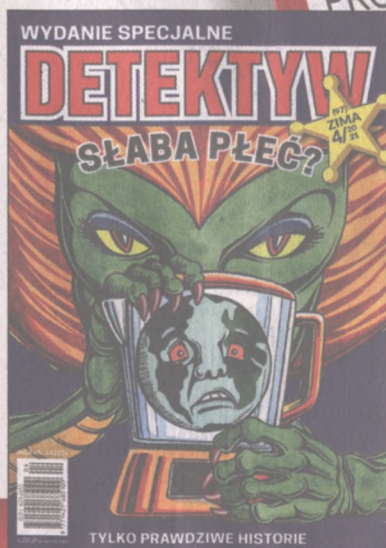
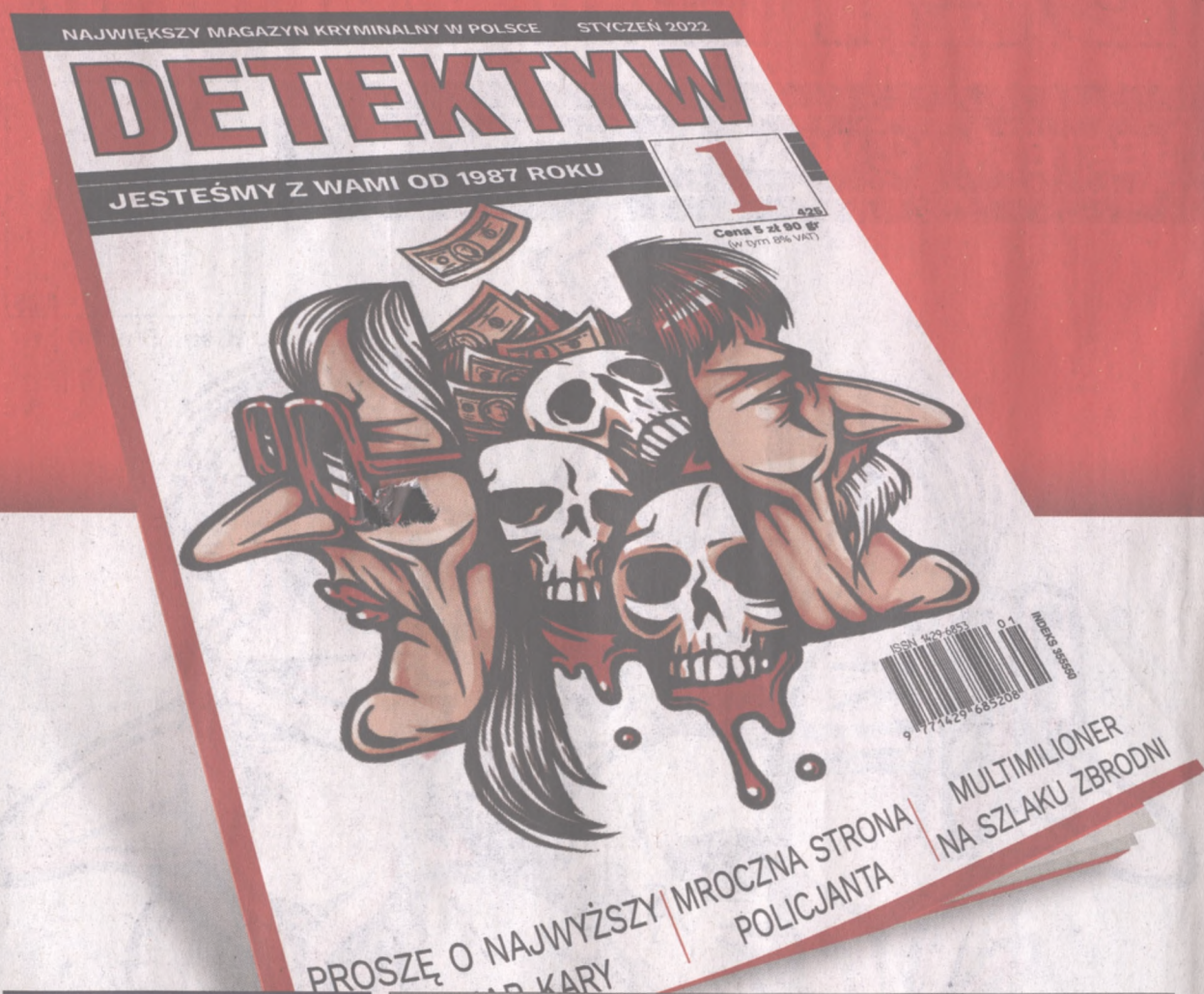
PROSZĘ O NAJWYŻSZY
WYMIAR KARY

MROCZNA STRONA
POLICJANTA

MULTIMILIONER
NA SZLAKU ZBRODNI

Najstarszy
magazyn
kryminalny
w Polsce

DETEKTYW



Kolejne wydania ukazą się w sprzedaży:

18 stycznia 2022 r.	2/2022
15 lutego 2022 r.	3/2022
1 marca	Wydanie Specjalne 1/2022 r.
15 marca 2022 r.	4/2022

www.detektywonline.pl

Krzysztof Kilijanek

Od redakcji — Po co to oszustwo?3

Jerzy Blaszyński

**Proszę o najwyższy wymiar kary
— Do trzech razy sztuka**4

Artur Lisowski

**Między nami, biznesmenami
— Mafia przejmie miasto**10

Maciej Piast

**Oszustwo w granicach normy
— Naiwność bez granic**16

Łukasz Magrzyk

W sieci wątpliwości — Sprawa niewyjaśniona22

Karol Rebs

Psychopata wiedział, co robi — W imię miłości28**Rozrywka z Temidą — Z kraju i ze świata**32

Dariusz Gizak

Nie chciałem — Zabójstwo lichwiarza34

Anna Frej

Mroczna strona policjanta — Makabra w piwnicy40

Anna Rychlewicz

Zabójcze duety — Czarna dziesiątka46

Paweł Pizuński

Śmierć zapomnianej gwiazdy — Walka o spadek50

Tadeusz Wójciak

**Multimilioner na szlaku zbrodni
— Pieniądze go nie uratowały**54**Krzyżówki — Rozrywka**63**Niebezpieczny upadek
— Zagadka kryminalna**64

WYDAWCA

Polska Grupa Wydawnicza
Monika Frączak
Krzysztof Kilijanek,
Spółka Cywilna
ul. Człuchowska 35A/87
01-360 Warszawa
redakcja@pgwsc.pl

REDAKTOR NACZELNY

Krzysztof Kilijanek
k.kilijanek@pgwsc.pl

ZASTĘPCA

REDAKTORA NACZELNEGO
Monika Frączak
m.fraczak@pgwsc.pl

ILUSTRACJE

Monika Kamińska
Jacek Rupiński

SKŁAD I ŁAMANIE

Maciej Kowalski
studio2@pgwsc.pl

REKLAMA

detektyw@pgwsc.pl

DRUK

Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
ul. Pultuska 120, 07-200 Wyszków

Nakład: 101 360 egz.

Oddano do druku: 29.11.2021 r.

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych, zastrzega sobie
prawo redagowania i zmiany tekstów.Kopiowanie i rozpowszechnianie
publikowanych materiałów wymaga
pisemnej zgody Wydawcy.Wydawca nie ponosi odpowiedzialności
za treść reklam i ogłoszeń.

© Copyright by „Detektyw”

DETEKTYW**Po co to oszustwo?**

Klient nasz Pan! To jedna z najstarszych zasad handlu na całym świecie. Do tego hasła odwołują się również oszuści oferując towary, na które istnieje rynkowe zapotrzebowanie. Jednym z nich są podrobione paszporty covidowe. Procederem tym zajmują się doskonale zorganizowane grupy przestępcze. Jedną z nich rozbito ostatnio w Lublinie.

Według ustaleń funkcjonariuszy członkowie gangu docierali do osób, które nie chciały się zaszczepić szczepionką przeciw Covid-19, ale chciały posiadać zaświadczenie potwierdzające takie zaszczepienie. Z zebranego materiału wynika, że kolejnym etapem było wprowadzenie danych „klienta” do systemu, wystawiając przy tym stosowne zaświadczenie. W ten sposób zdobywano tzw. paszporty covidowe upoważniające np. do wjazdu do niektórych państw. Za taką usługę klient płacił od tysiąca do 1,5 tysiąca złotych. Oczywiście, samo zaświadczenie absolutnie nie chroniło przed chorobą, o czym przekonali się niektórzy klienci ciężko „przechodząc” covid.

Podrobione paszporty covidowe to problem nie tylko w Polsce. Jak poinformował belgijski resort zdrowia, w ich kraju toczy się aktualnie kilkanaście śledztw w podobnych sprawach. Natomiast w Rosji, gdzie według doniesień medialnych, kupowanie zaświadczeń jest na porządku dziennym: *– Nawet 80 procent ciężko chorych na COVID-19, którzy oficjalnie byli zaszczepieni, to osoby, które sfalszowały zaświadczenie* – stwierdził Alexander Ginsburg, jeden z twórców rosyjskiej szczepionki Sputnik V. ■

Krzysztof Kilijanek**W NASTĘPNYM NUMERZE**

● **JAK PRZERAŻONY GRUZIN STAŁ SIĘ NOŻOWNIKIEM** – Oskarżony o zabójstwo 27-letniego Filipa obywatel Gruzji, po wyroku sądowym, wyszedł z aresztu śledczego, co wzbudziło kontrowersje obserwatorów tego tragicznego zdarzenia. Ale ślepa Temida uznała, że choć Aslani L. przekroczył granice obrony koniecznej, to działał pod wpływem strachu i zagrożenia własnego życia

● **MORDERCA ZAWSZE ZOSTAWIA ŚLAD** – Sekcja zwłok 67-letniej Janiny Morawskiej potwierdziła przypuszczenia lekarza milicyjnego. Ofiara zmarła na skutek ciężkich obrażeń czaszkowo-mózgowych, powstałych na skutek licznych ciosów zadanych w głowę siekierą. Ale było też coś nieoczekiwanego. Okazało się, że gdy skatowana kobieta znajdowała się już w fazie agonii, sprawca ją zgwałcił.

● **ZBYSZEK JEST LEPSZY W ŁÓŻKU** – Miłosny trójkał to – niestety – najlepszy przepis na przestępstwo. Miłość i zdrada często chodzą w parze, a od nieszczęścia dzieli tylko jeden krok. I dzieje się tak nie tylko w przypadku osób zdegenerowanych...

TE I WIELE INNYCH TEKSTÓW JUŻ ZA MIESIĄC. LUTOWE WYDANIE „DETEKTYWA” DO KUPIENIA W KIOSKACH JUŻ OD 18 STYCZNIA 2022 ROKU.

Proszę o najwyższy wymiar kary

Jerzy BLASZYŃKI

Sen zmorzył ich po północy. Wiesław J. udostępnił im kuchnię, sam poszedł spać do dużego pokoju. Przemysław sporo wypił i po przyłożeniu głowy do poduszki zaraz zachrapał. Karolina też usnęła, ale ponieważ wychylała co drugą kolejkę, miała znacznie lżejszy sen. W pewnym momencie usłyszała skrzypnięcie drzwi, a zaraz potem kroki na deskach podłogi. Otworzyła oczy i zobaczyła ojczyma. Był kompletnie nagi, w ręku trzymał siekiere.



Wodstępie kilkunastu lat Przemysław G. popełnił dwa morderstwa.

Pierwszy raz zabił, broniąc dziewczyny. Za drugim razem „coś w niego wstąpiło”. Tak się tłumaczył w sądzie. Zdawał sobie sprawę, że jest jednostką, która nie rokuje nadziei na poprawę, że nie trzeba wiele, by kogoś skrzywdził. Mówił, że dzieje się to jakby wbrew jego woli. Bynajmniej nie usprawiedliwiał się. W ostatnim słowie powiedział, że nie chce, by ktoś znowu przez niego cierpiał i poprosił o wyrok dożywocia.

Zawsze ten gorszy

49-letni obecnie Przemysław G. pochodził ze Świdnika. Wychowywał się bez matki, która zmarła na nowotwór, gdy miał niespełna 3 lata. Prawie jej nie pamiętał; gdyby nie zachowało się kilka zdjęć, nie wiedziałby jak wyglądała. Ojciec ożenił się ponownie. Z drugą żoną miał dzieci. Przemek czuł się jak piąte koło u wozu. Macocha wcale się nie kryła z niechęcią do niego. Ojciec ledwie go tolerował. Prezenty pod choinką: dla niego tandetny pistolecik z kiosku, dla przyrodniego rodzeństwa zdalnie sterowany samochód i lalka Barbie. Gdy się o coś z nimi posprzeczał, obrywał tylko on, jako ten starszy.

- Tak było na każdym kroku. Czulem się z tym źle. Nie miałem nikogo, kto by stanął w mojej obronie - powiedział po latach.

Gdy trochę podrośł, oddali go na wychowanie dalszej rodzinie, ale tam także zawsze był tym gorszym, przybłądą, którego trzyma się wyłącznie z łaski. Smutne dzieciństwo odcisnęło na nim trwałe piętno. W szkole nie przykładał się do nauki, choć nie był głupi, miał zdolności do przedmiotów ścisłych. Ledwie przechodził z klasy do klasy. Po podstawówce wybrał

zawodówkę mechaniczną, której nie ukończył, bo wolał wagarować, niż uczyć się fachu.

Już wtedy regularnie pił, próbował także narkotyków. Takie „przyjemności” kosztują. Własnych pieniędzy nie miał, w domu nie mógł na nie liczyć - nie przelewało im się, krewni grozili mu, że jak się nie weźmie za jakąś robotę, to przepędzą go na cztery wiatry. W rezultacie zbrała się z osiedlowymi obibokami, zaczęli okradać sklepy, napadać na przechodniów. Skończyło to się to tak, jak zazwyczaj się kończy: wpadką, procesem w sądzie i wyrokiem. Był pełnoletni, dostał 2 lata więzienia.

Po wyjściu na wolność, przyrzekł sobie, że więcejkrat w oknach od wewnątrz nie będzie oglądał. Musiał jednak z czegoś żyć. Przez kilka lat balansował na krawędzi. Wykształcenia żadnego nie miał, niewiele umiał, utrzymywał się z dorywczych, nędznie płatnych zajęć. A to skopał komus ogródek, a to kran naprawił. Z narkotykami ostatecznie się pożegnał, natomiast z alkoholem nadal pozostawał w bliskich stosunkach.

Spóźnione imienniny

W2002 roku poznał dziewczynę. Był już wtedy po trzydziestce, natomiast Karolina D. nie miała jeszcze 20 lat. Mimo sporej różnicy wieku, znaleźli wspólny język. Karolina, podobnie jak on, pochodziła z niepełnej rodziny. Jej rodzice byli po rozwodzie. Ojciec mieszkał na drugim końcu Polski, wieki go nie widziała. Drugi mąż matki lubił wypić, a po wódce mu odbijało, toteż i ten związek zakończył się tak samo jak poprzedni.

Zaczęli się spotykać, uprawiali seks. Przemek często bywał w lubelskim mieszkaniu Karoliny, zaprzyjaźnił się z jej matką. Poznał także ojczyma, który od czasu do czasu odwiedzał byłą rodzinę.

- Jeśli szukasz roboty, to u mnie jest jej dość. Po znajomości płaciłbym ci więcej niż innym - powiedział do Przemka. Wiesław J. miał pod Lublinem pieczarkarnię.

Przemysław G. nie skorzystał z okazji. Musiałby bowiem przenieść się na wieś. A on chciał jak najczęściej widywać Karolinę, która pomagała matce w sklepie i chodziła do liceum dla dorosłych. Jednak w połowie grudnia dziewczyna namówiła go na wyjazd do Wiesława J., na spóźnione imienniny ojczyma. Pojechali autobusem. Mężczyzna mieszkał w zaniedbanym domu. Pieczarkarnia, znajdująca się na terenie posesji, też wyglądała dość marnie. Nie zastali gospodarza. Było chłodno, więc udali się do sklepu, kupili dwie nalewki i po piwie, opróżnili butelki pod wiatą przystankową. Zobaczyli, że Wiesław wraca do domu.

Ucieszył się z odwiedzin, bo była to kolejna okazja do wypitki. Zaprosił ich do stołu, zakrzętnął się. Biesiadowali do późnych godzin. Było spokojnie, miło, oglądali film na wideo. Wiesław J. wypytywał Karolinę o jej matkę, której nie widział ponad miesiąc, rozmawiał też z Przemkiem. Wciąż go namawiał do pracy u niego.

- Przecież możecie we dwoje tu zamieszkać - powiedział w pewnym momencie mocno już podchmielony.

Dziewczyna szybko zmieniła temat.

Ojczym z siekierą

Sen zmorzył ich po północy. Wiesław J. udostępnił im kuchnię, sam poszedł spać do dużego pokoju. Przemysław sporo wypił i po przyłożeniu głowy do poduszki zaraz zachrapał. Karolina też usnęła, ale ponieważ wychylała czo drugą kolejkę, miała znacznie lżejszy sen. W pewnym momencie usłyszała skrzypnięcie drzwi, a zaraz potem kroki na deskach podłogi. Otworzyła oczy i zobaczyła ojczyma. Był kompletnie

nagi, w rękę trzymał siekiere.

– *Przestań, odbiło ci?! –* krzyknęła. Wiesław J. podszedł blisko, ściągnął z niej kołdrę.

– *Budź go i pieprz się z nim. Chcę na to patrzeć!* – powiedział, uniósł siekiere.

– *Do reszty cię pogięło! Wyjdz stąd i daj mi spokój! Kiedy wreszcie się ode mnie odczepisz?* – mówiła podniesionym głosem.

Ojczym zamachnął się i uderzył ją trzonkiem siekiery w nos. Krzyknęła z bólu. Hałas obudził Przemysława G. Jeszcze nie wytrzeźwiał i początkowo nie wiedział co się dzieje. Kiedy Wiesław ponownie zamierzył się na dziewczynę, rzucił się na niego, chcąc mu odebrać siekiere. Szamotanina przeniosła się do przedpokoju, następnie na ganek, a na koniec przed dom. Przemek kopnął ojczyma Karoliny w rękę, tamten zawył i puścił siekiere. Młodszy z mężczyzn zaczął nią walić Wiesława J. po głowie. Potem zadał mu kilka silnych ciosów łopata, po których tamten przestawał dawać oznaki życia.

– *Chyba go zabiłem –* powiedział Przemek do Karoliny.

Siedzieli przez pewien czas w milczeniu. W końcu dziewczyna stwierdziła, że ojczym nie może tak leżeć przed domem; ktoś się tym zainteresuje i będzie po nich. Wciągnęli zwłoki do mieszkania. Ukryli je w werśalce. Zostali jeszcze trochę, po czym wrócili do Lublina.

Jeszcze tego samego dnia zbrodnia została odkryta. Przemysław G. po pijanemu wygadał się przed kolegą, co zrobił, a znajomy powiadomił policję. Aresztowali ich; jego pod zarzutem zabójstwa, ją za zacieranie śladów przestępstwa. Oboje przyznali się do winy.

Rok później, w trakcie procesu w sądzie Przemysław G, tłumaczył się, że stanął w obronie Karoliny D., którą ojczym zaatakował siekiere.

– *Wcześniej żądał, byśmy na jego oczach uprawiali seks. Ten człowiek był zboczony –* wyjaśniał.



Karolina potwierdziła to. Wyznała, że mężczyzna nie pierwszy raz tak się zachował. Była jeszcze niepełnoletnia, gdy podglądał ją w kąpielni, ocierał się o nią, klepał po pośladkach. Później pozwalał sobie na jeszcze więcej. Po pijanemu przychodził w nocy do jej pokoju, kładł się obok niej, całował ją i obmacywał. Nazajutrz, gdy wytrzeźwiał, udawał, że niczego nie pamięta.

– *Tak rzeczywiście było, Wiesław J. molestował seksualnie moją córkę, gdy z nami mieszkał –* zeznała matka Karoliny.

Gdy się o tym dowiedziała, wyrzuciła go z domu. Nie pijaństwo, a pedofilskie zapędy mężczyzny były głównym powodem ich rozvodu.

Sąd uznał, że Przemysław G. dopuścił się zabójstwa, stając w obronie dziewczyny. Wiesław J. sam sprowokował zajście. Nie tłumaczyło to jednak brutalności sprawcy. Zadał 49-letniemu mężczyźnie śmiertelne ciosy siekiere, gdy tamten leżał na ziemi i nie stanowił zagrożenia. Z uwagi na wcześniejszą karalność Przemysława G. wyrok



był surowy. Został skazany na 15 lat. Karolina D. dostała do odsiadki 3 lata. Oboje odwoływali się do Sądu Apelacyjnego w Lublinie, ten jednak utrzymał wyroki w mocy.

Zwłoki kobiety w wersalce

Przemysław G. odsiedział wyrok w całości. Gdy szedł do więzienia, miał 31 lat, kiedy z niego wychodził, zbliżał się do pięćdziesiątki. Był już innym człowiekiem. Zakład karny to nie dom wczasowy, przeszedł tam twardą szkołę, zdrowie było już nie to. Znalazłszy się na wolności, po raz drugi zrobił przyrzeczenie, że nigdy za kraty nie wróci. I po raz drugi je złamał.

Właściciel części kamienicy przy ulicy 1 Maja w Lublinie od kilku tygodni nie mógł się skontaktować z mężczyzną, któremu wynajmował mieszkanie. Był przekonany, że lokator celowo go unika, bo był mu winny należność za czynsz. Za pierwszy miesiąc zapłacił bez opóźnień. Potem zaczęły się z nim problemy. Właściciel, jako przedsiębiorca, rozumiał, że ktoś może mieć kłopoty finansowe, ale taka osoba powinna szczerze o tym powiedzieć, a nie chować się przed nim i udawać, że nic się nie stało. Uznał, że chyba przyjdzie mu pożegnać się z tym lokatorem, jednak tym bardziej musiał się z nim spotkać i przekazać mu tę informację.

26 lutego 2018 roku jego cierpliwość się wyczerpała. Otworzył mieszkanie kluczem, którym jako właściciel domu dysponował i wszedł do środka. Mieszkanie wydało się puste.

– Halo, jest tu ktoś? – zapytał od progu.

Nikt nie odpowiedział.



Zapukał do pomieszczenia na wprost wejścia, też nic. Odniósł wrażenie, że od dłuższego czasu nikt tu nie przebywał. Gdy zajrzał do jednego z pokoi, uderzył go w nozdrza mdlący, lekko słodkawy odór zgnilizny. Smród był najbardziej intensywny w naprzeciwko okna, w miejscu, gdzie stała wersalka. Zmieszany był z przyjemnym, świeżym zapachem proszku do prania, którym wersalka została posypana. Właściciel kamienicy po namyśle ostrożnie podniósł wieko i odskoczył zszokowany. W skrzyni na pościel leżała młoda kobieta. Ciało było częściowo przykryte prześcieradłem. Kobieta nie ruszała się, nie dawała oznak życia.

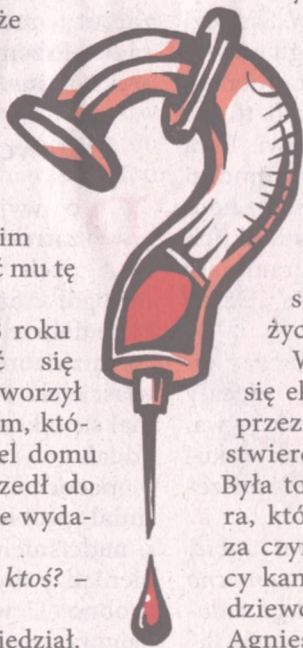
W mieszkaniu zjawiała się ekipa policji, wezwana przez właściciela. Lekarz stwierdził zgon kobiety. Była to przyjaciółka lokatora, który zwlekał z zapłatą za czynsz. Jedni mieszkańcy kamienicy twierdzili, że dziewczyna miała na imię Agnieszka, inni, że Alicja.

W każdym razie na literę „a”. Nazwisko mężczyzny znał właściciel domu. Człowiek ten nazywał się Przemysław G. Ciało było w stanie zaawansowanego rozkładu, co sugerowało, że od śmierci minęło wiele dni. U zmarłej nie stwierdzono żadnych widocznych obrażeń.

Prokurator zdecydował jednak o przeprowadzeniu autopsji. Kilka elementów nie pasowało bowiem do śmierci z przyczyn naturalnych. Po pierwsze, kobieta była młoda, na pewno jeszcze przed trzydziestką, po drugie, dlaczego zwłoki leżały w skrzyni zamkniętej wersalki? Po trzecie zastanawiający był fakt, że obicie mebla zostało posypane proszkiem do prania. Pytanie: czy został rozsypany celowo, czy przez nieostrożność? A jeśli specjalnie, to po co?

Uduślił, ale nie chciał

Odpowiedzi na te pytania nie znał zapewne wynajmujący mieszkanie. Jednak był nieobecny. Nie widziano go w domu od kilkunastu dni. Tak samo jak dziewczyny, która została znaleziona martwa w wersalce. Sąsiedzi byli przekonani, że wyjechali



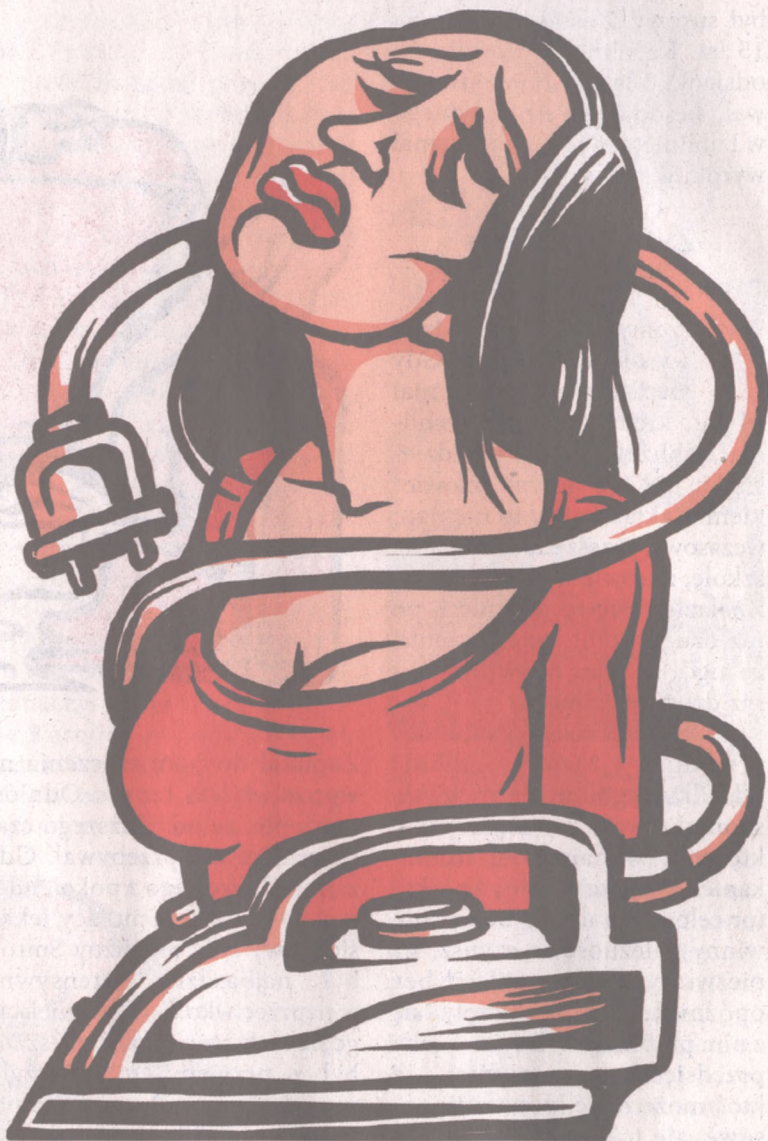
z Lublina. Niektórzy sądzą, że są zagranicą.

W pierwszym rzędzie należało zidentyfikować denatkę oraz znaleźć Przemysław G. W kontekście tajemniczego zgonu dziewczyny, jego zniknięcie wyglądało podejrzanie. Po 2 dniach policja ustaliła, że zmarła kobieta nazywała się Agata W., miała 24 lata, nie posiadała ostatnio adresu zameldowania i była notowana za posiadanie narkotyków. Leczyła się w lubelskiej poradni przeciw uzależnieniom, jednak od wielu miesięcy nie przychodziła na terapię. W związku z tym, że Agata W. była narkomanką, jej śmierć nabierała szczególnego zabarwienia. Czyżby zmarła z przedawkowania lub na skutek np. ataku serca, który był konsekwencją jej nałogu? Policja nie wykluczała takiego scenariusza. Dlaczego jednak jej zwłoki leżały w wersalce? Może jej partner, stwierdziwszy, że dziewczyna zaćpała się na śmierć, wystraszył się i ukrył ciało? A może łączyło go z tym zgonem coś więcej?

Lekarze z Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, po przeprowadzeniu sekcji zwłok, ustalili przyczynę śmierci Agaty W. Dziewczyna została uduszona w wyniku zaciśnięcia rąk przez sprawcę na jej szyi oraz jakiegoś wąskiego przedmiotu (sznura lub paska). Nie zawsze pozostawia to na ciele ofiary wyraźny ślad w postaci sinego przebarwienia. W tym wypadku pręgi na szyi Agaty W. były widoczne, ale zauważono je dopiero na stole sekcyjnym.

Trwały poszukiwania jej partnera. Okazało się że mężczyzna był dobrze znany organom ścigania. 47-letni Przemysław G. kilka miesięcy wcześniej zakończył odsiadanie 15-letniego wyroku pozbawienia wolności za zabójstwo ojczyzna swojej konkubiny. Wiele wskazywało na to, że Przemysław G. zabił po raz drugi. Tylko dlaczego to zrobił?

Ustalono, że zaraz po Nowym Roku zamieszkał w czynszówce



przy ulicy 1 Maja. Wkrótce dołączyła do niego Agata W. Sąsiedzi niewiele mogli o obojgu powiedzieć. Lokatorzy kamienicy w większości mieszkali tu od wielu lat. Oni byli nowi. Para nie utrzymywała znajomości z mieszkańcami budynku, a oni nie chcieli się im narzucać. Ich wzajemne kontakty ograniczały się do mówienia sobie „Dzień dobry”.

Przemysław G. został zatrzymany przez policję niecały tydzień po odkryciu zabójstwa. Podczas przesłuchania w prokuraturze przyznał się do uduszenia swojej partnerki.

– *Nie chciałem jej zabić. Byłem zdenerwowany i za mocno ją ścisnąłem. Bardzo tego żałowałem i nadal żałuję* – mówił.

Prokuratura postawiła mu zarzut zabójstwa. Decyzją sądu Przemysław G. został aresztowany.

Dziewczyna z baru

Po wyjściu z więzienia zatrudniał się do różnych dorywczych prac, na ogół ciężkich, ale nie całkiem dobrze, między innymi do sprzątanego mieszkań po śmierci właściciela. Początkowo zatrzymał się u krewnych, do których oddali go w dzieciństwie ojciec z macochą. Ograniczył picie (miał problemy z żołądkiem i nadciśnieniem) i odkładał pieniądze, by móc zamieszkać osobno. U wujostwa nie było najgorzej, ale ciasno. Szukał

jakiejś niedrogiej stacji. Wiele wskazywało, że wychodzi na prostą.

W listopadzie poznał Agatę W. Poszedł do baru coś zjeść, a ona, przy sąsiednim stoliku, sączyła samotnie piwo. Bez skrępowania poprosiła go o postawienie kolejki. Siedzieli w barze do zamknięcia. Tak się zaczęła ich znajomość. Gdy na początku 2018 roku wprowadził się do kamienicy przy 1 Maja, zaprosił ją do mieszkania, uprawiali seks. Agata zwierzyła mu się, że nie ma gdzie mieszkać, więc zaproponował, żeby została u niego. Powiedział, że załatwi to z właścicielem. Miał szczyry zamiar tak zrobić, owszem łączyło się to z wyższym czynszem, ale nie był przecież niewypłacalny. Pojawiły się jednak problemy innej natury. Nie miał czasu na spotkanie z właścicielem.

Gdy Agata zamieszkała u niego, już drugiego dnia upiła się i wtedy poznał ją od gorszej strony. Zachowywała się wulgarnie, była agresywna. Ledwie trzymała się na nogach, ale chciała dalej pić. Domagała się także narkotyków, grożąc, że jeśli ich nie dostanie, to się zabije. Następnego dnia sytuacja się powtórzyła. Takie napady miała jeszcze kilka razy w ciągu dwóch tygodni. Wychodziła w środku nocy, wracała po wielu godzinach umorusana, półżywa z wyczerpania. Przemysław G. tłumaczył prokuratorowi, że bał się o nią. Nie chciał żeby w takim stanie włóczyła się po mieście. Mogła zamarznąć albo ktoś mógłby ją pobić.

– Na tym tle – wyjaśniał – doszło do tragedii.

To było pod koniec stycznia. Dokładnej daty nie pamiętał. Agata znowu uparła się, że musi wyjść kupić narkotyki, bez których, jak mu mówiła, nie dożyje do rana,

– Nigdzie nie pójdziesz, lepiej się połóż i prześpij – nakazał.

Zareagowała obelgami. Krzyknęła, że nie jest jej mężem, ani ojcem, więc nie może jej niczego zabraniać.

Zaczęła się ubierać do wyjścia. Zdenerwowany jej uporem pchnął ją do pokoju, przewrócił na podłogę, po czym zaciśnął dłonie na szyi dziewczyny. Potem do duszenia użył sznura od żelazka,

– Coś we mnie wstąpiło, nie byłem sobą – wyjaśniał w śledztwie.

Dusił ją przez około minutę. Gdy stwierdził, że Agata nie żyje, wystraszył się. Drugie morderstwo! Jak go złapią i posadzą, nie wyjdzie już z więzienia. Postanowił do tego nie dopuścić. Ukrył zwłoki w wersalce, udał się nad Bystrzycę i wyrzucił do rzeki narzędzie zbrodni.

Przez kilka dni mieszkał ze zwłokami. Byli u niego koledzy, siedzieli ze 2 godziny, ale nie zorientowali się, że w skrzyni wersalki leży martwa kobieta. Później jednak uznał, że kwestią czasu jest, gdy ktoś się domysli. Z powodu postępującego rozkładu ciała w domu zaczęło śmierdzieć. Posypał wersalkę proszkiem do prania, żeby osłabić odór. Niewiele to jednak pomogło. Bał się, że sąsiedzi przyjdą i każą mu otworzyć mebel. Którejś nocy,

ze skromnym bagażem nieopstrzeżenie opuścił kamienicę i do zatrzymania ukrywał się we wsi pod Lublinem, u znajomego z zakładu karnego. Tam namierzyła go policja. Poddał się bez oporu.

Zbrodnia się za nim ciągnie

Przysięgał, że nie chciał zabić Agaty, twierdził, że bardzo mu zależało, żeby być z tą dziewczyną. Uduślił ją w chwili wielkiego wzburzenia, nie do końca wiedział, co robi.

Jednak prokuratorów nie przekonały wyjaśnienia mężczyzny. Do zabójstwa użył najpierw rąk, a potem sznura od żelazka. Musiał więc przerwać duszenie, żeby ten sznur znaleźć i założyć go dziewczynie na szyję. Wizja lokalna wykazała, że przerwa była wystarczająco długa, by podejrzany ochłonął (o ile naprawdę był wzburzony) i zaprzestał dalszego duszenia. Chyba, że sznur miał przygotowany już wcześniej – a to sugerowałoby, że zaplanował zbrodnię.

W sądzie, w trakcie procesu, który odbył się w połowie 2018 roku, Przemysław G. za dużo nie mówił. Ograniczał się do krótkich odpowiedzi na pytania. W ostatnim słowie zapewnił, że nie zaplanował zabójstwa Agaty. Nie chciał jej zabić, ale zrobił to. Widać, zbrodnia się za nim ciągnie, nawet bez jego woli. W związku z tym poprosił o najwyższy wymiar kary.

– Chcę resztę życia spędzić w zakładzie karnym tam nikogo nie skrzywdzę – mówił.

Sąd po naradzie uznał Przemysława G. winnym zabójstwa Agaty W. i skazał go na dożywocie. Nie oznacza to jednak, że mężczyzna nigdy nie wyjdzie na wolność. Będzie mógł się ubiegać o skrócenie kary, ale nie wcześniej niż po 20 latach. ■

Jerzy Blaszyński

Zmieniono personalia i niektóre szczegóły.



Między nami, biznesmenami

Artur LISOWSKI

Mężczyźni ponad wszelką wątpliwość zostali zamordowani w innym miejscu. Potem ich ciała zawinięto w gazety i folię, a następnie przewieziono nad rzekę i wrzucono do wody. Sylwester A. zginął od kuli w środek czoła, zaś Zbigniew C. dostał kilka kul w pierś, miał zmiążdżone dłonie i zmasakrowaną twarz. Na koniec zabójca dobił go strzałem w tył głowy. Zbrodnia nie miała motywu rabunkowego, bowiem ciało „Zibiego” obwieszane było złotem. Morderca nie skusił się ani na drogocenny zegarek, ani na grube łańcuchy, którymi lubił się obwieszać zamordowany mężczyzna.



To podwójne morderstwo wyglądało na mafijne porachunki. W spokojnym dotychczas T. zawrzało. Na lokalny półświatek padł strach. Podobno o narkotyczne wpływy i nowe rynki walczyły w T. przestępcze grupy ze stolicy. Ich bossowie ściągnęli do usunięcia przeszkód, czyli małomiasteczkowych gangsterów, brutalnych kilerów ze Wschodu. Ci, jak straszono, szybko sięgali po broń. Prawda okazała się jednak bardziej prozaiczna.

Ważny jest każdy ślad

Wrześniowy poranek zapowiadał na chłodny dzień. Przed pracą wyskoczył na połów. Ubrany w wysokie kalosze wędkarz brodził w płytkim w tym miejscu nurcie rzeki. Szukał dogodnego miejsca na zarzucenie wędki. Nagle dostrzegł coś dziwnego. Przy brzegu leżały zanurzone w wodzie spore worki ze śmieciami. Zaciękawiony podszedł bliżej. Z przerażeniem spostrzegł, że coś, co z daleka wyglądało jak duży pakunek, jest ciałem mężczyzny. Zwłoki były nieszczelnie zawinięte w gazety i czarną folię, spod której wystawały nogi i ręce. Na jednej z dłoni denata mienił się wysokokaratowym złotem luksusowy zegarek. Obok w wodzie leżało drugie zawinięte w worki ciało.

Na kilka chwil wędkarza zamurowało ze strachu. Kiedy doszedł do siebie, bacznie rozejrzał się po okolicy. Nie zauważył żadnego ruchu ani śladu czyjeś obecności. Ile sił w nogach popędził do najbliższych zabudowań, aby wezwać policję. Pół godziny później wiejską drogą w kierunku rzeki mknęły radiowozy na sygnale.

Policjanci z sekcji zabójstw, którzy jako pierwsi dotarli na miejsce znalezienia zwłok, w ciągu zaledwie kilku minut ustalili tożsamości obu mężczyzn.

– Ten ze złotym zegarkiem to Zbigniew C., a ten drugi to Sylwester A. Ich śmierć oznacza, że mamy spore problemy. Ważny jest każdy, nawet najdrobniejszy ślad. Niech wszyscy porządnie przyłożą się do roboty. Zabierzcie stąd gapiów. Do zbierania śladów ściągnijcie najlepszych ludzi. Niech nic nie przeoczą. Liczy się każdy włos zahaczony o krzaki przy rzece, czy niedopałek wciśnięty w trawę. Raport chcę mieć na biurku najszybciej jak to możliwe – pokrzykiwał szef sekcji zabójstw.

Potem wyjaśnił mniej zorientowanym, że za życia denaci należeli do przestępczego półświatka w T. Starszy z mężczyzn, niespełna 40-letni Zbigniew C., bardziej znany w swoim środowisku jako „Zibi”, był od lat prawą ręką i przyjacielem przestępczego bossa Rafała J., vel „Król”. Obaj dorastali w robotniczym osiedlu w T. Mówiono, że jeden oddałby życie za drugiego. Kilka miesięcy wcześniej Rafał J. trafił do aresztu, wówczas „Zibi” zajął się ochroną przestępczych interesów przyjaciela.

Drugi zabity, nieco młodszy, Sylwester A., był oficjalnie pośrednikiem w handlu autami. Jednak przez ostatnie miesiące widywany był przy boku „Zibiego”. Z racji swojej postury traktowany był jako ochroniarz drobnego i niewysokiego Zbigniewa C.

Bandyckie porachunki

Już wstępne oględziny wskazywały, że obaj mężczyźni zostali zamordowani w innym miejscu, po czym ich ciała zawinięto w gazety i folię, a następnie przewieziono nad rzekę i wrzucono do wody. Sylwester A. zginął od kuli w środek czoła, zaś Zbigniew C. dostał kilka kul w pierś, miał zmiażdżone dłonie i zmasakrowaną twarz. Na koniec zabójca dobił go strzałem w tył głowy. Zbrodnia nie miała motywu rabunkowego, bowiem ciało „Zibiego” obwieszono było

złotem. Morderca nie skusił się ani na drogocenny zegarek, ani na grube łańcuchy, którymi lubił się obwieszać zamordowany mężczyzna. Dzień wcześniej do szpitala w T. trafił dobry kolega zamordowanych – Paweł S. Mężczyzna miał ranę postrzałową nogi. Policjanci skojarzyli te fakty i wkrótce wzięli w obroty rannego. Ten wielokrotnie karany spec od rozbojów i bójek uparcie twierdził, że jechał samochodem, zatrzymał się w lesie za potrzebą fizjologiczną i ktoś do niego strzelił. Kula przeszła mu na wylot udo.

– Nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Dajcie mi spokój. Przecież wiecie, że z psami nie gadam. Możecie mi grozić, ile chcecie. Ja nic nie zrobiłem. To do mnie strzelano – zapierał się Paweł S.

Panika w mieście

Po tych bestialskich morderstwach w spokojnym T. zawrzało. W mieście nie było dotąd tak brutalnego zabójstwa. Poza tym, kto ośmieliłby się tknąć grube ryby z lokalnego półświatka? To pytanie spędzało sen z powiek policjantów. Dotychczas nie mieli zbyt dużo pracy związanej z przestępczością zorganizowaną, czy porachunkami mafijnymi. Świat przestępczy w T. był siermiężny. Funkcjonariusze mieli w nim dość dobre rozeznanie dzięki donosicielom, którzy chętnie sprzedawali informacje o swoich kompanach. Tym razem było inaczej. Żaden z informatorów nic nie wiedział.

W T. huczało od plotek. Miejscowe gazety licytowały się, przedstawiając coraz bardziej szokujące scenariusze zbrodni. We wszystkich wersjach pojawiał się motyw wojny o podział wpływów handlu z narkotykami oraz prostytucji. Organa ścigania wydały wprawdzie oficjalny komunikat o makabrycznych zabójstwach, ale wkrótce prokuratorzy i policjanci nabrali wody w usta, co

spowodowało gwałtowny wzrost plotek i spekulacji.

Kilerzy w mieście

W półświatku zapanowała panika, bowiem lotem błyskawicy rozniosła się plotka, że w mieście pojawili się kilerzy, którzy mają sprzątnąć kolejne osoby. Mniejsi i więksi lokalni bandyci oraz narkotykowi dilerzy wynieśli się z miasta. W największej tajemnicy opowiadano sobie, jak dokonano zbrodni. Podobno rzeź miała miejsce w pubie „U Górala”, który był ulubionym lokalem gangsterów.

Był ktoś, kto podobno widział, że w ostatni piątek „Zibi”, Sylwester A. oraz Paweł S. bawili się „U Górala” w najlepsze. Nad ranem, kiedy już w lokalu zostali tylko najwytrwalsi, do środka wpadli dwaj „Ruscy”. Byli uzbrojeni po zęby. Chodziło im o Zbigniewa C., czyli „Zibiego”. Dokładnie wiedzieli, jak wygląda. Brutalnie wyciągnęli go na zaplecze. Nawet nie zdążył złapać za spłuwę. Za kumplem rzucili się jego kompani: Paweł S. i Sylwester A., który jako pierwszy dostał kulę w czoło. Druga kula, wystrzelona przez jednego z „Ruskich”, przeszła nogę Pawła S. Miał szczęście, bowiem stał blisko drzwi, za które zdołał się schować przed kolejnymi strzałami. Potem rzucił się do ucieczki. Oprawcy zza wschodniej granicy dopadli do „Zibiego”. Poharatali mu twarz nożem, prawie wydłubali ostrzem oko. Połamali i zmiądzzyli palce. Na koniec jeden z „Ruskich” strzelił „Zibiemu” w tył głowy.

Zabójcy byli wyjątkowo brutalni. Podobno chodziło właśnie o zmanifestowanie siły. Dlaczego? Przypuszczano, że wszystko wskazywało na bossa świata przestępczego w T. – Rafała J., vel „Króla”, który właśnie odsiadywał wyrok. Jak mówiono, „Król” – zanim trafił za kraty – nawiązał kontakty z wołomińską mafią. Chodziło

o handel narkotykami. „Król” potrzebował sprawdzonego i w miarę taniego towaru, a ci z Wołomina szukali nowych rynków zbytu. Wkrótce Rafał J. stał się wyłącznym przedstawicielem wołomińskiego gangu na terenie T. Miasto, choć spokojne, okazało się spragnione „maryški”, a nawet bardziej wyszukanych dragów. Towar sprzedawał się niczym gorące bułeczki. Rozwój narkotycznego biznesu „Króla” przerwało jego zatrzymanie, a potem kilkuletni wyrok w zupełnie innej sprawie.

Wprawdzie „Zibi” starał się z całych sił godnie reprezentować przyjaciela, ale brakowało mu autorytetu i bezwzględności nieobliczalnego kolegi.

Pozbawiony bossa przestępczy biznes w T., stał się łakomym kąskiem. I w takim momencie doszło do podwójnego zabójstwa ludzi wiernych „Królowi”.

Jak napisała jedna z lokalnych gazet, w mieście pojawił się tajemniczy „człowiek z Warszawy”. Kim był?

Plotkowano, że był młodszy od „Króla”, wysportowany i bez nałogów, które chwilami gubiły Rafała J. A co najistotniejsze, „człowiek z Warszawy” nie miał skrupułów. Przez ostatnie lata szkolił się u najlepszych mafiosów. W przeszłości był specem od mokrej roboty. W T. jednak sam nie ubrudził sobie rąk krwią dotychczasowej konkurencji. Dla własnego bezpieczeństwa wynajął „Ruskich”. To oni, za niewielkie pieniądze, zabili na jego zlecenie.

Podobno po zabójstwie „Zibiego” oraz Sylwestra A. świat przestępczy w T. podzielił się. Jedni optowali za przejściem na stronę „człowieka z Warszawy”. Inni namawiali do wierności i lojalności wobec „Króla”.

– *Znamy go. Wiemy, na co go stać. Po co ma nami rządzić, ktoś nowy – szeptali między sobą gangsterzy.*

Inni twierdzili, że czas „Króla” dobiegł końca.



– *Przyjmijmy godnie nowego. Wszystkich nas nie pozabija – przekonywali zwolennicy zmian w regionalnym półświatku.*

Przedsiębiorca z kartoteką

Nieoczekiwanie wszystkie te dywagacje i plotki przerwało pojawienie się na scenie 32-letniego Adama R., właściciela niewielkiego biznesu w T. Znanego policji z awanturnictwa i różnych zatargów z prawem. Otóż dwa tygodnie po zabójstwie gangsterów, mężczyzna ten zgłosił się do policji. Był

mnie, abym się zgłosił do policji – twierdził Adam R.

Krew w magazynie

Policja przeszukała natychmiast magazyn należący do Adama R. Znalaziono w nim ślady krwi jednego z zamordowanych gangsterów. Leżały tam też gazety, które idealnie pasowały do tych znalezionych przy ciałach. Z drewnianych drzwi magazynu funkcjonariusze wyciągnęli kule wystrzelone z broni palnej. Prokurator z radością zacierał ręce. W końcu miał miejsce zbrodni. Śledczy nie uwierzył w wersję przedstawioną przez Adama R. Dowody i ślady znalezione w magazynie utwierdzały prokuratora w przekonaniu, że to Adam R. dokonał tej makabrycznej zbrodni. Miał też motyw – nie chciał zapłacić haraczu. Pojawiła się też plotka, że Adam R. miał do spłacenia „Zibiemu” dług za TIR-a z marihuaną, ale tej wersji śledczym nie udało się potwierdzić.

W ocenie prokuratora, feralnego dnia Zbigniew C., Sylwester A. oraz Paweł S. przyjechali do firmy Adama R. Rzeczywiście mieli odebrać haracz za ochronę. Telefonicznie ustalili, że przedsiębiorcą ma dla nich przygotować 20 tys. dolarów.

Po ich pojawieniu się w firmie, Adam R. zaprosił gości do magazynu, w którym stało kilka sporych maszyn. Jedna z nich była włączona i głośno huczała. Dzięki temu nikt postronny nie usłyszał strzałów. W magazynie Adam R. wyciągnął broń i strzelał do mężczyzn niczym do kaczek. Tylko Paweł S. zdołał uciec i wsiąść do samochodu. Jego dwaj koledzy mieli mniej szczęścia, zginęli na miejscu. Po zbrodni Adam R. zawiązał ciała w folię i gazety, potem wywiózł je i wrzucił do rzeki.

Taką wersję zabójstwa przedstawił prokurator w akcie oskarżenia przeciwko Adamowi R. Tym samym uciął dotychczasowe



wylękniiony i brudny, na twarzy nosił kilkunastodniowy zarost. Twierdził, że przez ostatnie dni ukrywał się w okolicznych lasach.

– Boję się o swoje życie. To w moim magazynie zabito Zbigniewa C. i Sylwestra A. Kulkę też dostał Paweł S. Obawiam się, że teraz ich oprawcy będą chcieli mnie zabić. Tego dnia we trzech przyjechali do mnie po haracz. Chcieli 20 tys. zielonych za ochronę. Już wcześniej to obgadaliśmy. Zgodziłem się. Nie miałem wyjścia. Grozili, że nie będę miał życia, a moja firma nie pociągnie bez ich opieki. Umówiłem się, że przyjadą

do mnie. Dałem im pieniądze. Wówczas poprosili, czy mógłbym jeszcze udostępnić im mój magazyn. Podobno mieli załatwiać jakieś swoje biznesy. Nie interesowałem się. Otworzyłem im magazyn. Wjechali tam swoim autem. Po jakimś czasie na moją posesję przyjechało czarne Audi. Jego kierowca również wjechał do magazynu. Po 20 minutach oba samochody wyjechały. Nic nie słyszałem. Z prasy dowiedziałem się o zabójstwach. Skojarzyłem, że wówczas ci mężczyźni byli u mnie. Nie namyślałem się długo, tylko uciekłem z domu. Schroniłem się w lesie. W końcu rodzina namówiła

spekulacje dotyczące wojny gangów oraz tajemniczego „człowieka z Warszawy”. Mieszkańcy T. odetchnęli z ulgą. W końcu miejscowy bandyta, w dodatku zatrzymany przez policję, był bezpieczniejszy od macek stołecznej mafii.

Biegli z zakresu balistyki uznali, że do zabitych w magazynie gangsterów strzelano z kilku rodzajów broni, zaś z aktu oskarżenia jednoznacznie wynikało, że Adam R. strzelał do swoich gości sam. Nawet laik uznałby, że być może teoretycznie jest to możliwe, ale w praktyce przedsiębiorca musiałby niczym rewolwerowiec trzymać w każdej ręce pistolet, a może nawet i dwa, i równocześnie strzelać do trzech osób.

Stróże prawa w T. długo zastanawiali się, dlaczego tak doświadczeni w bandyckim rzemiośle „Zibi” i jego kumple wybrali się po haracz bez broni. Otóż sprawa okazała się prozaiczna. Po załatwieniu sprawy z haraczem wszyscy trzej wybierali się na towarzyskie spotkanie przy ognisku z pieczeniem kiełbasek. Miały tam przyjechać ich dzieci i kobiety. Wobec tego uznali, że nie wypada zabierać ze sobą splot. Tym bardziej, że odebranie haraczu miało być robotą „czystą, szybką i wyłącznie przyjemną”, bo przecież dogadali się wcześniej z Adamem R.

Słyszał głosy...

Przez wiele miesięcy nie udało się rozpocząć procesu przeciwko Adamowi R. Ten zdrowy dotychczas mężczyzna nagle zaczął cierpieć na różnego rodzaju schorzenia psychiczne. Podobno miał omamy, słyszał dziwne głosy, wręcz stracił kontakt z rzeczywistością. Był tak przerażony pobytem w areszcie, że psychiatrzy wykluczyli jego uczestnictwo w rozprawach i zalecili leczenie w szpitalu. Wobec tego sąd uchylił areszt tymczasowy i Adam R., podejrzany o podwójne zabójstwo

oraz usiłowanie zabójstwa, został zwolniony z więzienia, aby się leczyć na wolności. Wkrótce okazało się, że Adam R. nie miał czasu na podreperowanie nadzarpniętego aresztem zdrowia. Miał ważniejsze sprawy. Związał się z grupą przestępczą, która specjalizowała się w napadach na sklepy.

Organa ścigania ponownie przyjrzały się przestępcy. Funkcjonariusze brygady antyterrorystycznej kolejno raz przeszukali dom rzekomego przedsiębiorcy. Jakież było ich zdziwienie, kiedy w ukrytej w mieszkaniu skrytce, znaleźli pistolet „czetkę”, na którego posiadanie Adam R. nie miał pozwolenia.

Znalezienie broni posunęło do przodu sprawę dotyczącą zabójstwa „Zibiego” i jego ochroniarza. Badanie wykazało, że to z tej broni wystrzelono pociski, które utkwily w drzwiach magazynu w czasie strzelaniny do poborców haraczu.

Cwany lis

Tym razem Adam R. nie wywinął się sprawiedliwości. Nikt już nie wierzył w jego problemy psychiczne, w końcu stanął przed sądem. Mimo to nie dawał za wygraną, jeszcze w czasie pierwszej rozprawy usiłował udawać chorego psychicznie – mówił bez ładu, wymachiwał rękami. Sąd



natychmiast wezwał biegłego. Lekarz oficjalnie potwierdził, to, co już wszyscy wiedzieli, że Adam R. symuluje.

- Oskarżony symuluje objawy choroby psychicznej. Jego demonstracyjne zachowanie jest przyjętą linią obrony i z pewnością będzie ją prezentował w dalszej części procesu - wykazał psychiatra.

Oczywiście Adam R. nie przyznał się w sądzie do dwóch zabójstw oraz usiłowania zabójstwa. Kolejny raz powtórzył wersję o „wypożyczeniu” magazynu gangsterom.

- Ten pistolet ze skrytki to mi podrzucono. Z tej „cezetki” to ja nie strzelałem, przysięgam na krzyż. Nie jestem taki głupi, aby w domu trzymać broń, z której strzelano. Gdybym z niej strzelał, to wyrzuciłbym ją, a nie chował w mieszkaniu. Poza tym na bazarach w T. to nawet tira z bronią można sobie kupić - zarzekał się w sądzie, zaś jego obrońca ze stoickim spokojem powtarzał, że nie chodzi o pociski wyjęte z ciał zabitych, ale o kule z drzwi magazynu.

Ogromną część procesu Adama R. pochłonęły opinie i ekspertyzy biegłych speców od broni. Sąd starał się ustalić, z ilu sztuk broni strzelano oraz czy oskarżony mógł sam z tej broni strzelać. Balistyk wyliczył, że mogły być użyte nawet cztery pistolety, ale nie wykluczył, że strzelała z nich jedna osoba.

Co do pocisków wyjętych z ciał zamordowanych mężczyzn, to miały różny kaliber. Jedne były większe, drugie mniejsze. Zdaniem biegłego świadczyło to o tym, że do ofiar strzelano z różnych pistoletów. W czasie długiego procesu przesłuchano ponad setkę świadków. Większość z nich „nic nie wiedziała i nic nie słyszała”. Milczał też w sądzie Paweł S., postrzelony kolega zamordowanych mężczyzn, który powtórzył jedynie, że dostał kulę w nogę, kiedy wysiadł z auta za potrzebą fizjologiczną.

Pierwszy wyrok w tej sprawie zapadł sześć lat po dokonanej



zbrodni. Sąd skazał Adama R. na karę dożywotniego więzienia za podwójne zabójstwo i usiłowanie zabójstwa.

- Adam R. zaprosił swoich gości do magazynu. Pewnie przyjacielsko klepał ich po ramieniu. A potem ich zdradził. W magazynie wyciągnął broń i zaczął strzelać do bezbronnych mężczyzn. Pokazał, że jest zdolny do najokrutniejszych zbrodni. Sąd nie dopatrzył się żadnych okoliczności łagodzących - mówił sędzia, ogłaszając dożywotni wyrok.

Obrońca Adama R., który wnosił o uniewinnienie, złożył apelację. Sąd wyższej instancji uchylił wyrok dożywotnia i uznał, że proces musi toczyć się od nowa. W czasie drugiego procesu sąd wskazał, że motywem strzelaniny w magazynie były porachunki w świecie przestępczym. Tym razem sąd przyjął, że oskarżony nie działał sam, ale miał co

najmniej jednego współnika. Nie udało się go ustalić. Adam R. został skazany na karę 25 lat więzienia. Jego mecenas ponownie się odwołał. Tym razem apelację uznano tylko w części dotyczącej usiłowania zabójstwa Pawła S. Adam R. trzeci raz stanął przez sądem. Jakiś czas temu sąd kolejny raz uznał go za winnego. Za usiłowanie zabójstwa wymierzył mu karę 15 lat więzienia. Co w jego sytuacji nic nie zmienia, ponieważ odsiaduje już karę 25 lat za dwa zabójstwa.

Ogłaszając wyrok, sędzia podkreślił, że w czasie wydarzeń w magazynie Adam R. nie był sam, ktoś mu towarzyszył, ale do dziś ta osoba nie została ustalona. ■

Artur Lisowski

Wszystkie personalia, pseudonimy, nazwa pubu oraz pewne szczegóły zostały zmienione.

Oszustwo w granicach normy

Maciej PIAST

O tym, jak w czasach PRL-u trudno było zdobyć paszport, świadczą perypetie prezesa Ryszarda Ochódzkiego z kultowego filmu „Miś”. Jednak ta trudność dla Ireny Letnik, z podolsztyńskiego miasteczka, stała się okazją do wyciągnięcia od znajomych pieniędzy.



Na początku lat 70. XX wieku Irena Letnik, 40-letnia rozwódka, razem z synem Wojtkiem, mieszkała w Barczewie koło Olsztyna. Przez to urocze miasteczko przepływają dwie rzeki: Pisa i Kiermas, nad którymi przerzucono aż 14 mostów i z tego powodu zwane jest Warmińską Wenecją. Pół wieku temu miasto bardziej znane było ze srogiego więzienia, w którym siedzieli groźni kryminaliści, a także hitlerowski zbrodniarz wojenny – Erich Koch.

Była żona „klawisza”

Jako ważny „klawisz” w zakładzie karnym pracował również były mąż pani Ireny, który załatwił jej posadę w więziennej administracji. Po rozwodzie ich drogi, również zawodowe, rozeszły się i kobieta musiała szukać nowego zajęcia. Znalazła je w przedszkolu, ale nie w miejscu zamieszkania, lecz w Olsztynie, oddalonym 20 km od Barczewa. To oznaczało, że codziennie musiała pokonywać tę trasę w jedną stronę z samego rana i w drugą – po południu. Jako że nie miała własnego samochodu, zdana była na dojeżdżanie pociągiem lub autobusem PKS. Nie było to przyjemne, szczególnie wtedy, gdy w zatłoczonym wagonie kolejowym lub w autobusie, siadali przy niej pasażerowie niekoniecznie przestrzegający zasad higieny osobistej.

Praca wychowawczyni w olsztyńskim przedszkolu sprawiała Irenie dużo satysfakcji, ale nie mogła tego powiedzieć o zarobkach. Wiadomo, sfera budżetowa w Polsce zawsze była słabo opłacana. Tymczasem kobieta nie tylko musiała ponosić koszty związane z codziennymi dojazdami, lecz także z utrzymaniem mieszkania w starej kamienicy, a przede wszystkim rosnącego jak na drożdżach nastoletniego syna, nie mówiąc o sobie samej. A ona, jak każda kobieta, chciałyby nie tylko

dobrze jeść, ale i pięknie wyglądać, bo cały czas liczyła, że jako atrakcyjnej „czterdziestce” trafi się jej nowy partner, najlepiej z pełnym portfelem. Żeby nie musiała martwić się, za co kupić Wojtkowi buty czy sukienkę dla siebie, żeby mieli co do garnka włożyć. Co prawda jej były mąż płacił skromne alimenty, ona obiady jadała w przedszkolu, ale syn pochłaniał całe stopy kanapek i czasami ręce załamywała, że na wszystko nie wystarcza. Widziała przed sobą mroczną przyszłość, a przynajmniej do czasu, aż Wojtek się usamodzielni.

Okazja trafiła się sama

Takie egzystencjalne rozmyślania nawiedzały Irenę zwłaszcza podczas powrotów komunikacją publiczną z pracy, gdy nie była pewna, jak jej kochany synek zareaguje na braki w lodówce. I czy w swoich pretensjach do matki nie stanie się coraz bardziej podobny do swego ojca. Irena próbowała dorabiać szyciem, jednak wieczorem zwykle padała z nóg i nie nadążała z wykonaniem

zlecenia od którejś z sąsiadek. A wtedy one przenosiły się do konkurencji.

Wreszcie trafiła się jej okazja, o której wcześniej nie pomyślała nawet przez sekundę. Podczas powrotu autobusem z przedszkola usłyszała rozmowę, jaką za jej plecami prowadziły dwie znajome mieszkanki Barczewa. Jedna z nich pochwaliła się, że wraz z mężem ma zamiar wyjechać za granicę, konkretnie do NRF, jak się wtedy skrótowo określało Niemiecką Republikę Federalną.

– *Tak? A po co tam chcecie jechać?* – zdziwiła się ta druga.

– *Jak to, po co? Mąż ma tam przecież rodzinę, może załatwił mu jakąś czasową robotę, to zarobi trochę dojcymarek.*

Tutaj dodajmy, że Warmiacy, tak jak Mazurzy z ówczesnego województwa olsztyńskiego, mieli wielu krewnych w zachodnich Niemczech, którzy wyjechali tam w latach powojennej emigracji. Ekonomiczne trudności w okresie PRL-u powodowały, że przywiązanie do tradycji polskich przodków i ojczystej ziemi liczyło się mniej niż pieniądze, a liczni potomkowie autochtonów zaczęli się doszukiwać niemieckich korzeni. Tak było

Wyjazdy reglamentowane

Paszport w czasach PRL-u był równie cenny jak dolary, przywożone z Zachodu przez tych szczęśliwców, którzy te dokumenty dostali. Do października 1956 roku w praktyce możliwe było wyłącznie uzyskanie paszportu na wyjazd służbowy. Później wyjazdy zagraniczne stały się łatwiejsze dzięki temu, że powstały biura podróży, organizujące wycieczki, w 80 proc. do krajów demokracji ludowej. Wyjazd indywidualny był jednak nadal możliwy jedynie na zaproszenie. W latach 70. do krajów socjalistycznych można było wyjechać na wkładki paszportowe do dowodów osobistych i Polacy chętnie z tej możliwości korzystali, jeżdżąc do Złotych Piasków w Bułgarii, do Dubrownika w Jugosławii czy na Krym w ZSRR, choć najczęściej na Węgry, do Czechosłowacji i NRD w celach handlowych. O paszport do krajów kapitalistycznych było o wiele trudniej, co w karykaturalnej formie przedstawił Stanisław Bareja w filmie „Miś”. Pamięamy, jak to prezes klubu sportowego „Tęcza” Ryszard Ochódzki został zatrzymany na granicy z powodu wyrwanych kartek w paszporcie i musiał wykonać wiele skomplikowanych operacji, żeby załatwić nowy dokument na wyjazd do Londynu. Od 1989 roku paszporty trzymamy w domowej szufladzie, choć korzystamy z nich rzadko, ponieważ w ramach układu z Schengen możemy podróżować po Europie bez granic.

i z mężem Anny Borowiec, owej znajomej, która również chciała wyjechać za granicę, na razie czasowo, jak przekonywała sąsiadkę z autobusu. Ta jednak zadała zasadnicze pytanie:

- *A macie paszporty?*

Nie mieli, lecz koleżanka wyjaśniła, że trzy miesiące wcześniej złożyli wnioski w biurze paszportowym komendy MO i gorąco wierzy, że wkrótce paszporty dostaną.

- *Dostaniecie figę z makiem*
- skomentowała złośliwie współpasażerka.

Bezcerne kontakty

Tymczasem przedszkolance przyszedł do głowy genialny w swej prostocie pomysł: „A może ja dam jej taką nadzieję? Niczym przecież nie ryzykuję”. Gdy wysiadły z autobusu, poszła za znajomą, by ustalić, gdzie dokładnie mieszka. Przeczekała dwa dni i w niedzielę wybrała się na spacer w okolice domu Anny Borowiec. Krążyła tam i z powrotem aż wreszcie dojrzała kobietę na podwórku. Zagadała ją:

- *Dzień dobry, pani Aniu? Co słyhać? Kiedy jedzie pani za granicę.*

Zaskoczona gospodyni spojrziała na nią bez słowa, wreszcie wyksztusiła:

- *A kto pani powiedział, że jadę?*

Irena zbliżyła się do niej, mrugnęła porozumiewawczo i zaproponowała:

- *Nie będziemy rozmawiać przez płot. Mogę wejść?*

Pani Anna otworzyła szeroko oczy, a potem furtkę i gestem ręki zaprosiła na podwórko. Obie siadły na ławce przed domem i wtedy przybyła kobieta po cichu wyjawiała, że ma znajomości w organach Milicji Obywatelskiej i biurze paszportowym w Olsztynie, a nawet w samej Warszawie:

- *Przecież pani wie, że pracuję w Olsztynie, niektóre znajomości zostały mi jeszcze po mężu, ale sama nawiązałam nowe kontakty z ważnymi oficerami.*

Irena miała na tyle rozwiniętą fantazję, że nietrudno przyszło jej roztoczyć wokół siebie nimb wielkich możliwości, którymi, wiadomo, nie może się głośno chwalić. Pani Anna, oczarowana wizją szybkiego zdobycia paszportu, w mig zrozumiała, że taka pomoc nie jest bezinteresowna. Poprosiła o dzień zwłoki, by uzgodnić to z mężem, ale wyraźnie dała do zrozumienia, że pieniądze „na koszty” nie stanowią dla niej większego problemu. I tak się stało. Nazajutrz pod wieczór sama przyniosła pani Irenie 3 tys. zł, życząc jej, aby pozytywnie załatwiła sprawę.

Irena Letnik wzięła pieniądze bez mrugnienia okiem,

mając nadzieję, że małżeństwo Borowców i tak powinno dostać paszporty, bo miało z Niemiec zaproszenie od rodziny. A jeśli nie dostanie, to najwyżej wyjaśni pani Annie, że na przeszkodzie stanęły „trudności obiektywne” i w najgorszym wypadku odda jej pieniądze. Taką właśnie metodę zastosował pracownik naukowy akademii medycznej z filmu „Konsul”, który brał kasę za pomoc w przyjęciu kandydatów na studia. Jeśli zdali egzamin i dostali indeks, ich rodzice byli mu wdzięczni; jeżeli nie, po prostu zwracał im pieniądze, przepraszając, że się nie udało. Ten film z Piotrem Fronczewskim w roli głównej powstał znacznie później, ale pani Irena miała dobre wycucie, zaś pierwsza próba okazała się dla niej również szczęśliwa. Kilka dni po „interwencji” przedszkolanki, Anna Borowiec i jej mąż zostali zaproszeni do biura paszportowego, gdzie wręczono im tak cenne wówczas dokumenty. Byli przekonani, że to zasługa ich życzliwej znajomej z Barczewa, którą zaraz powiadomili o sukcesie wręczając dodatkowo czekoladki i butelkę gruzińskiego koniaku. Ich wdzięczności nie było końca i chociaż powinni trzymać język za zębami, niebawem wieści o pozytecznych stosunkach byłej żony więziennego strażnika obiegły całe miasteczko.

Miłość wszystko wybaczy

Nie minęło kilka dni, gdy pod sklepem zaczepiła ją inna kobieta – Zofia Sowińska, właścicielka miejscowej kwiaciarni, prosząc dyskretnie, czy Irena nie pomogłaby jej w uzyskaniu paszportu, bo chciałaby jechać do przyjaciółki we Francji. Irena Letnik udała zdziwienie, że akurat do niej zwraca się w takiej sprawie, ale gdy znajoma nie ustępowała, zaprosiła ją na następny wieczór, do siebie. Pani Zosia przybyła o umówionej porze i od razu



przeszła do rzeczy: daje 5 tys. zł za załatwienie paszportu. Wniosek złożyła kilka tygodni wcześniej, a trzeba tylko popchnąć sprawę. Gospodyni trochę się krygowała, ale w końcu zgodziła się dodając, że to zadanie trudne, bo 5 tys. zł pójdzie dla znajomego urzędnika w biurze paszportowym, ale dojdą jeszcze inne wydatki.

- No to ile? - zapytała kwiaciarka. - Dwojka wystarczy?

W sumie pani Irena dostała do ręki 7 tys. zł. I ponownie szczęście jej dopisało, bo po kolejnych dwóch tygodniach Zofia Sowińska wpadła do niej z paszportem w ręce i butelką radzieckiego szampana w torebce. Potem na stole znalazła się flaszka żytniej, tak że posiedziały sobie do późnej nocy, a w tym czasie Zosia próbowała naraić Irenie pewnego mężczyzny o imieniu Stefan. Pięćdziesięciolatek był wdowcem z trójką dorosłych dzieci, mieszkał w domku jednorodzinny w Olsztynie i pracował w tamtejszej fabryce opon jako elektromonter. A przede wszystkim był porządnym, niepijącym człowiekiem, bez większych wymagań wobec kobiety.

- Dzięki niemu zmienisz życie, przestaniesz męczyć się dojazdami do pracy, a i Wojtek szkołę średnią też będzie miał na miejscu. Fajna babka jesteś, nie przegap swojej szansy, a pewnie się w nim zakochasz? - przekonywała.

Właścicielka kwaciarni kuła żelazo póki gorące i - zanim wyjechała do Francji - zaaranżowała spotkanie obojga potencjalnych partnerów w olsztyńskiej restauracji „Kormoran”, koło dworca PKP/PKS. Podczas wczesnej kolacji przy bułgarskim winie Irena i Stefan przypadli sobie do gustu i umówili się na następne spotkanie. Tym razem poszli na dancino do znanej olsztyńskiej restauracji „Pod Żaglami”. Bawili się do białego rana i wtedy podjęli decyzję o wspólnym życiu. O ślubie mieli postanowić później. No



i o podróży poślubnej do Włoch albo Hiszpanii. Z czym nie powinno być kłopotów, bo przecież Irena ma takie znajomości w biurze paszportowym...

Wszystko szło jak z płatka róży, którą codziennie Stefan witał nową partnerkę po pracy, odwożąc swoim wysłużonym, ale sprawnym wartburgiem do Barczewa. Aż któregoś dnia Irena nie stawiała się w wyznaczonym miejscu, co zaniepokoiło mężczyznę, ale uznał, że musiało jej coś wyskoczyć. Nie mógł tego sprawdzić od ręki, bo nie wiedział nawet, w którym przedszkolu jest kierowniczką, jak mu podała. Nazajutrz również czekał w umówionym punkcie miasta, lecz kobieta znów się nie pojawiła. Wsiadł wtedy do samochodu i pojechał do Barczewa, ale zastał zamknięte drzwi. Dopiero pytając w pobliskim sklepie o panią Letnik, usłyszał złowieszczą wieść: została aresztowana za oszustwa!

Jak się potem dowiedział pocztą pantoflową, a także przekonał podczas rozprawy sądowej, jego nowa partnerka wyłudziła pieniądze od kilku osób, którym miała ułatwić uzyskanie paszportów. I je załatwiała - przynosząc druki wniosków do wypełnienia i składając je w biurze paszportowym, jak najbardziej legalnie. Od wnioskodawców brała kasę na gratyfikację dla znajomych urzędników w biurze, którzy mieli pomóc w przepchnięciu formalności. A że nie było to łatwe, przedszkolanka prosiła o dodatkowe

kwoty, żeby powtórnie „posmarować” komu trzeba. Jej oszustwa wyszły na jaw, bo jeden z niefortunnych petentów poszedł do kierownika biura paszportowego z pretensjami, że jego wniosek załatwiono odmownie, a przecież zapłacił pani Irenie.

- Jakiej Irenie? - zapytał zdziwiony urzędnik. I wszystko się wyjaśniło.

Za oszustwa i wyłudzenie pieniędzy Sąd Powiatowy w Olsztynie skazał Irenę L. na 3 lata więzienia oraz zwrócenie poszkodowanym 30 tys. zł. I tak dobrze, że nie wszyscy jej znajomi przyznali się do własnej naiwności. Na szczęście sąd warunkowo zawiesił wykonanie kary na 5 lat i dlatego kobieta po rozprawie wyszła z aresztu. Przed bramą czekał na nią Stefan, tym razem z pękiem czerwonych róż. Podczas procesu bardzo jej współczuł i uznał, że to dobra kobieta, a do przestępstwa pchnęły ją trudne warunki życiowe. Dlatego z własnych oszczędności oddał pieniądze naciągniętym klientom Ireny, a ona tak mu była wdzięczna, że bez wahania dała się zaprowadzić do ślubnego ołtarza. Tylko podróż poślubna była nieco skromniejsza, nad polskie morze, ale to nie był żaden feler, zwłaszcza że pojechali tam bez paszportów. ■

Maciej Piast

Personalia zostały zmienione.

W sieci wątpliwości

Łukasz MAGRZYK

Zaczął się niewinnie. W grudniu 2014 roku Jakub Kazała wybrał się do swojej dziewczyny do Białej Rawskiej, a następnie wraz z nią na imprezę. Wówczas nie wiedział, że już do domu nie wróci. Jego zwłoki po pewnym czasie znaleziono na pobliskich bagnach...



Swidrygały to miejscowość położona około 100 km od Warszawy. To właśnie tu wraz ze swoimi rodzicami – mamą Renatą i tatą Sylwestrem, a także rodzeństwem, mieszkał Jakub Kazała. Zwykły chłopak – szczupły, wysoki, o pociągłej twarzy. Uchodził za duszę towarzysztwa; postrzegano go jako dobrze wychowanego, spokojnego, sympatycznego, rodzinnego i wygadanego, a także ambitnego, chcącego czerpać z życia pełnymi garściami. Kuba miał różne zdolności, jednak jego pasją była głównie informatyka. Lubił poświęcać czas na dłubanie przy sprzęcie. W tym kierunku chciał się rozwijać. Aby móc to realizować, postanowił uczyć się w pobliskiej Białej Rawskiej. W szkole Kuba poznał Olę.

Czas nauki minął szybko, a Jakub już snuł plany dalszego kształcenia. Swoje kroki skierował do stolicy. Ku zdziwieniu rodziny i znajomych nie zdecydował się na rozwijanie pasji do informatyki, lecz wybrał budownictwo. Szybko okazało się, że decyzja była słuszna. Budownictwo bardzo mu się spodobało. Choć był dopiero na początku studiów, już zamierzał silnie związać swoją przyszłość z tym kierunkiem. Interesowało go założenie działalności gospodarczej.

Chłopak studiował zaocznie, miał więc czas, by na co dzień pomagać w pracy swojemu ojcu, prowadzącemu działalność w branży instalacji i serwisu urządzeń chłodniczych. W firmie pracy raz było więcej, a raz mniej, zwłaszcza poza sezonem, dlatego Kuba, wiedziony chęcią odciążenia budżetu domowego i uzyskania niezależności finansowej, postanowił zatrudnić się na etacie. Szybko uśmiechnęło się do niego szczęście – pobliskie przedsiębiorstwo ogłosiło rekrutację. Jednym z elementów wpływających na dobrą opinię o kandydacie była umiejętność swobodnego porozumiewania się w języku angielskim, co dla

Kuby nie stanowiło problemu. Chłopak sprawdził się. Został przyjęty. Pracę miał rozpocząć od 2015 roku. Wtedy jeszcze nie wiedział, że nie dojdzie to do skutku.

Życie Jakuba, poza studiami i pracą w firmie ojca, mniej więcej od połowy 2014 roku, wypełniały sprawy sercowe. Kuba miał dziewczynę, starszą od siebie. Olę znał jeszcze z technikum. Wtedy jednak była w związku z Sebastianem. Dziewczyna podobała się Kubie od dawna i gdy tylko dowiedział się, że jest wolna, postanowił spróbować swoich sił, by z Olą się związać. Udało się! Był w niej szaleńczo zakochany. Niewiele przed końcem roku Olę poznał także członek rodziny Jakuba. Podczas spotkania chłopak wydawał się szczęśliwy – przytulał dziewczynę i próbował zagadywać. Ta jednak, jak oznajmiła rodzina Kuby, choć sprawiała dobre wrażenie, nie mówiła za dużo. Patrząc na parę, można było mieć poczucie, że świetnie się rozumieją, jednak prawda odbiegała od tego sielskiego obrazka.

Poszedł na domówkę

26 grudnia 2014 roku nie wyróżniał się spośród innych dni. Wieczorem Kuba pojechał do nieodległej od Świdrygałów Białej Rawskiej, by spotkać się tam z Olą, a następnie jej znajomymi. Aleksandra i Jakub planowali, że będą pić na imprezie. Ustalili, że po zabawie chłopak przenocuje u niej. Z tego względu auto pozostawił pod jej domem. Do miejsca, w którym organizowano domówkę, podobno zawiozła ich koleżanka. Rzekomo miała ich także odebrać. Tak się jednak nie stało.

Przyjęcie było kameralne. Brały w nim udział zaledwie cztery osoby – Kuba z Olą oraz gospodarz imprezy wraz ze swoją partnerką. Młodzi bawili się raczej nieźle. Choć chłopak

przyjaciółki Oli nie przepadał za nią, dobrze dogadywał się z Jakubem, który opowiadał o studiach i swoich planach. Chłopcy wymienili się nawet numerami telefonów. Wedle późniejszych zeznań dziewczyna Jakuba zachowywała się co najmniej dziwnie. Po zaledwie dwóch łykach alkoholu (podczas imprezy podobno wypito 0,7 litra wódki i nieco nalewki) stwierdziła, że źle się czuje. Postanowiła więcej nie pić. Później zaś co chwilę chodziła do toalety – i dość nietypowo wybierała tę zlokalizowaną na parterze, chociaż młodzi na czas zabawy mieli do swojej dyspozycji łazienkę na piętrze.

Wielokrotnie schodzenie po schodach powodowało niechęć zwłaszcza ze strony matki gospodarza przyjęcia, gdyż było już późno, a kobieta chciała się wyspać. Najpierw upomniała imprezowiczów, natomiast potem, zniecierpliwiona, weszła do pokoju i powiedziała, że chyba czas zakończyć spotkanie. Kuba i Ola zaczęły zbierać swoje rzeczy. Tuż przed wyjściem Jakub przeprosił matkę chłopaka, u którego odbyła się zabawa, za zachowanie swojej towarzyski.

W oczekiwaniu na taksówkę

Było po północy, a koleżanka, która deklarowała, że odbierze Olę i Kubę, nie pojawiła się pod wskazanym adresem. Stwierdziła, że całość zbytnio się przeciągnęła, dlatego zamiast na nich czekać zaczęła załatwiać swoje sprawy. Młodzi zdecydowali się zadzwonić po taksówkę. Aleksandra tłumaczyła później, że choć miała swój telefon poprosiła, by komórkę pożyczył jej Kuba. Podobno konto w jej aparacie zostało zablokowane. Jak twierdziła, oczekiwanie na transport trochę się przeciągało. Wraz z Kubą wyszła na dwór. Skierowali się w stronę centrum miejscowości. W wolnej chwili

ponownie zadzwoniła do kierowcy, by powiedzieć, że będą czekać na niego koło lokalnego przystanku. Szli we wspomnianym kierunku. Wkrótce okazało się, jednak, że Kuba... zniknął.

Gdy zamówiona taksówka dotarła na miejsce, Ola miała wsiąść do samochodu, a następnie, wraz z kierowcą, krążyć w poszukiwaniu Jakuba. Przepuszczała, że chłopak z pewnością kręci się gdzieś po okolicy. Po Jakubie nigdzie nie było śladu. Taksówkarz rzekomo zostawił Olę przy działkach. Ponoć tam też szukała Jakuba. Według przedstawionej relacji mniej więcej pół godziny później Ola kolejny raz zadzwoniła po taksówkę. Tym razem poprosiła, by zawieziono ją w okolicę przystanku autobusowego. Sądziła, że Kuba być może tam będzie na nią czekał. Domysły znów okazały się nietrafione. Zaniepokojona skontaktowała się z kolegą 20-latką – Kamilem.

Pomimo że było późno, Kamil odebrał. Ku jego zdziwieniu w telefonie nie usłyszał głosu Kuby, lecz głosu Oli. Ta spytała się chłopaka, czy Jakuba nie ma u niego. Kamil zaprzeczył. Później dowiedział się, że jego przyjaciel „zaginął”. Kamil skontaktował się z Wojtkiem, swoim znajomym. Nakreślił mu sytuację i zapytał, czy ten nie pomógłby w poszukiwaniach. Wojtek przystał na tę prośbę i wraz z Kamilem udał się do Białej Rawskiej.

Gdy przybyli na miejsce, dziewczyna znów opowiedziała, co się stało. Po wysłuchaniu jej wersji natychmiast ruszyli, by odnaleźć kolegę. Olę podobno odwieźli do domu – to przecież u niej miał nocować Kuba, więc istniało duże prawdopodobieństwo, że to właśnie tam poszedł. Mieli nadzieję, że poszukiwania ułatwi im... pogoda. Wszędzie zalegał śnieg, który przestał padać około 22. To oznaczało, że ślady butów, zwłaszcza te prowadzące w rejony słabo uczęszczanych ścieżek, powinny być dobrze widoczne. Mimo że

młodzi ludzie lustrowali nie tylko tereny przy ulicach, ale także ścieżki prowadzące na pola czy w stronę sadów, używając przy tym źródła światła, i nawoływali „zaginonego” po imieniu, po chłopaku zdawało się nie być śladu. Poszukiwania Kuby przerwali dopiero nad ranem.

Uznany za zaginionego

Wnocy z telefonu Kuby wykonano również połączenie do siostry chłopaka. Ta powiedziała, że zobaczyła dopiero rano. Natychmiast oddzwoniła. Komórki jednak nikt nie odebrał. Przed południem do domu Kuby, w towarzystwie

Aleksandry, przyjechał Kamil. Zapytał się, czy zastał kolegę. Gdy wyszedł, pani Renata zaczęła się mocno niepokoić. Telefon syna nadal uporczywie milczał. Po wykonaniu wielu sygnałów komórkę odebrał jednak... Kamil. Tłumaczył, że wraz z dziewczyną Kuby są w miejscowym komisariacie, bo nigdzie nie mogą go znaleźć. Komórka Jakuba w rękach jego dobrego kolegi znalazła się dość przypadkowo. Ola przekazała mu ją wtedy, gdy wraz z Wojtkiem spotkali się w celu prowadzenia poszukiwań 20-latka.

Oficjalnie zaginięcie Jakuba Kazały zgłosił jego ojciec. Lokalna policja uspokajała,



twierdząc, że chłopak z pewnością szybko się znajdzie. Mimo to rodzice 20-latka bardzo się niepokoiли. Kuba, gdy miał się spóźnić, zawsze dzwonił. Gdy rozłądował mu się telefon, pożyczął od kogoś, aby skontaktować się z bliskimi i powiedzieć, że u niego wszystko w porządku.

Rodzice chłopaka wkrótce po tym, jak zgłoszono jego zaginięcie, udali się do Białej Rawskiej, a konkretnie do domu, w którym wieczorem odbyła się impreza. Tam dowiedzieli się, że po zabawie Ola wraz z Kubą zamówili taksówkę. Zidentyfikowanie przewoźnika nie było trudne, gdyż w Białej Rawskiej usługi tego typu świadczyła tylko jedna osoba. Mężczyzna, do którego rodzice dotarli jeszcze przed służbami potwierdził, że rzeczywiście jeździł z dziewczyną po mieście w poszukiwaniu chłopaka. Później taksówkarza przesłuchano, jednak jego zeznania nie zgadzały się z wersją Oli. Ponadto paragon, który wystawił klientce i na którym uwzględniono liczbę kilometrów pokonanych w ramach kursu oraz należną kwotę, opiewał na 14 zł za 2,4 km.

Jak zauważono, a następnie przekazano tę informację policji, analizując trasę, którą ponoć pokonali taksówkarz razem z Aleksandrą, wychodziło jednak sporo więcej niż tylko trochę ponad 2 km. Przytoczona wiadomość po pewnym czasie zainicjowała przeprowadzenie eksperymentu. Wziętą w nim udział kierowca taksówki. Metodą prób i błędów udało się wreszcie osiągnąć wspomniany wynik. Kierowca stwierdził, że wcześniej musiał się pomylić, gdyż razem z Aleksandrą jeździł różnymi trasami.

Na jaw wyszła jednak jeszcze jedna rażąca nieścisłość: paragon wystawiony przez taksówkarza, oprócz wspomnianych danych, zawierał także godzinę rozpoczęcia kursu (było to 45 minut po północy) oraz

jego zakończenia (51 minut po północy). Analiza bilingów Kuby (jego telefonem dysponowała wtedy Ola) wykazała zaś, że feralnej nocy, 48 minut po północy, także odbyło się połączenie z taksówkarzem i trwało ono 10 sekund. To dziwne, gdyż z rzeczonych danych płynął wniosek, że wówczas trwał kurs, a jak na zwykłą pomyłkę w wybieraniu numeru połączenie było dość długie.

Warto dodać, że „podróż” Oli i Kuby została zarejestrowana przez kamery. Na dostępnych zapisach z monitoringu można zauważyć, że Ola szturchała Kubę, wymachiwała rękoma; ten zaś nie reagował na zaczepki. Na drugiej kamerze widać już wyłącznie dziewczynę. Na nagraniu można dostrzec też „kręcący się” w pobliżu samochodu, jednak jakość obrazu była zbyt słaba, by dało się ustalić więcej szczegółów dotyczących pojazdu.

Najpierw Ola przekonywała, że nie kłóciła się z Kubą, natomiast potem przyznała, że między nią a chłopakiem doszło do sprzeczki. Powodem konfliktu miało być to, że Kuba za dużo wypił na imprezie. Zmianę zeznań tłumaczyła prosto: tamtej nocy dużo wypijała (choć jej znajomi twierdzili inaczej).

– Sześliśmy razem, jednak tak zajęłam się rozmową z taksówkarzem, że w pewnym momencie, kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że Jakub jest dużo dalej za mną i idzie w przeciwnym kierunku – zeznała.

W innej z rozmów mówiła:

– Słyszałam od różnych osób, nawet mówiłam pani Renacie (mamie Kuby), że gdy Kuba uczestniczył wcześniej w innych imprezach, np. przy ognisku, i nie tylko, gdy wypił z kolegami, podobno odchodził, oddalał się, nie odbierał telefonu. Słyszałam to od kogoś z chłopaków. Nie wiem, czy to prawda. Mówiłam o tym pani Renacie. Natomiast na pewno raz na weselu, na którym byliśmy razem, zachował się tak, że odszedł.

Drugie oblicze związku

Poszukiwania Kuby trwały, jednak patrząc na Olę dało się odnieść wrażenie, że niezbyt mocno zależało jej na rozwiązaniu sprawy zaginięcia chłopaka. Podobno już 28 grudnia spędziła noc ze swoim byłym partnerem – Sebastianem. Światło dzienne ujrzaly też inne kwestie: chociaż dziewczyna na pierwszy rzut oka wydawała się sympatyczna, a Kuba był nią mocno zauroczony, ich związkowi dużo brakowało do ideału. O tym rodzice chłopaka dowiedzieli się po zalogowaniu się na profil facebookowy syna. Treści, które było można tam znaleźć nie napawały optymizmem. Wynikało z nich, że Ola była apodyktyczna w stosunku do Kuby. Około dwóch tygodni przed pechową nocą dziewczyna wymieniła z chłopakiem kilka SMS-ów. Pisała, że bardzo go kocha, ale zrobiła coś strasznego, i chce, by jej wybaczył. Pomimo że Kuba drążył temat, jako odpowiedź otrzymał tylko wzmiankę, by się nie martwił – na pewno go nie zdradziła (choć innym razem oznajmiła, że tak właśnie zrobiła, po czym niedługo wszystko odwołała), ale boi się, że ją zostawi, jeśli się o tym dowie.

Zdecydowano się przesłuchać Sebastiana, który mieszkał w miejscowych blokach. Chłopak zeznał, że w nocy z 26 na 27 grudnia przebywał w domu. Taką wersję potwierdziła chociażby jego matka. Później z kolei, jak twierdził, przypomniał sobie, że wybrał się wtedy do sklepu monopolowego. Na dodatek ktoś widział go, gdy ten jeździł po mieście. Rzekomo Sebastian nie był kryształowy. Wśród plotek, które ochoczo krążyły w przestrzeni publicznej, dało się usłyszeć także te, że z lokalną policją łączyły go układy, a przy tym handlował narkotykami. Miał grozić Kubie. Podobno kiedyś nie dawał parze spokoju, wydzwanając zarówno do chłopaka, jak i swojej byłej dziewczyny.

Ponoć mówił chłopakowi Oli, że się z nim policzy, jeżeli ten nie zostawi Aleksandry. Dodał, że będzie lepiej dla Jakuba, by ten nie odwiedzał Białej Rawskiej. W innym przypadku może stać mu się krzywda.

Ola podczas składania zeznań również opisywała swoje relacje z Sebastianem. Mówiła, że pomimo faktu, że był jej byłym, wydzwaniał do niej i przychodził (robił nawet remont tam, gdzie mieszkała, z czego Kuba, delikatnie mówiąc, nie był zadowolony). Sebastian chciał, by rozstała się z chłopakiem. Dodatkowo w nerwach pötrafił powiedzieć, że może mu coś zrobić.

– *Ale u niego to było normalne* – skwitowała dziewczyna.

Bliscy Kuby w toku prywatnego śledztwa dotarli do innego byłego chłopaka Oli. Też miał zatargi z Sebastianem. Otrzymał od niego groźby. Widząc, z jakim typem człowieka ma do czynienia, odpuścił.

W przypadku kwestii zaangażowania w poszukiwania Ola mówiła, że dziwi ją stanowisko znajomych czy rodziny Kuby traktujące o tym, iż nie pomagała znaleźć swojego chłopaka. Twierdziła, że trudno jest współpracować, gdy druga strona ją straszy, grozi jej (choć owa „druga strona” okazała się, że nic takiego nie miało miejsca). Podobno o wszystkim Aleksandra opowiedziała funkcjonariuszom, a ci poradzili, by odsunęła się od poszukiwań, aby nie doszło do gorszych sytuacji. Ola Kuby szukała, jak przekonywała, na własną rękę.

Ciało na bagnach

Na początku Jakuba szukało kilka osób, później liczba ta wzrosła. W działania, oprócz rodziny, zaangażowano znaczną część służb, w tym rzeszę przedstawicieli policji, psy tropiące, straż pożarną i ochotników. Kawałek po kawałku przeczesywano podmokłe tereny Białej Rawskiej.

Z czasem ciała Kuby zaczęto szukać w okolicznych stawach, a 29 grudnia po raz pierwszy do akcji włączono helikopter. Widoczność była dobra, gdyż poszukujący mogli dostrzec z góry nawet niewielkie rzeczy. Dodatkowo na Facebooku powstała grupa o nazwie „Zaginął Jakub Kazała”. Pojawiło się jeszcze więcej informacji i plakatów. Sprawą zaczęły interesować się media, a na dodatek co jakiś czas odzywały się osoby, które udzielały bądź próbowały udzielać wskazówek mających na celu pomóc w odnalezieniu chłopaka. Niestety „ślady” raczej nie prowadziły do niczego konkretnego. Jedną z pomocniczek była jednak Maja Danilewicz. Wysłała zdjęcie satelitarne z widocznym domem. Danilewicz dodała, że Kuba jest na podmokłym terenie w pobliżu tego zabudowania. Nie myliła się. Zgodnie z tym, co mówiła ciotka Jakuba, w toku sprawy korzystano też z usług innego znanego w Polsce jasnowidza. Ten przyznał, że Kuba nie żyje, jednak, według relacji kobiety, inne elementy wersji, jaką zaprezentował jasnowidz, nie pokryły się z rzeczywistością.

Mimo przedsięwzięcia zakrojonego na szeroką skalę, na zwrot w sprawie trzeba było trochę poczekać. 14 stycznia 2015 roku – wówczas na terenach podmokłych znaleziono but (leżał obok opuszczonego domu, w niewielkim bagnie, podeszwą do góry). Co ciekawe, but był mokry, ale czysty. Znalaziono także kluczyki do samochodu, którym jeździł 20-latek. Może nie było to wiele, jednak owe ślady należały do elementów wartościowych chociażby z uwagi na fakt, że mogły stanowić jakikolwiek przejaw obecności Kuby w tym miejscu (zakładając, że rzeczy nie podrzucono). Według relacji rodziny zaginionego ślady nie zostały jednak zabezpieczone prawidłowo. Policjantka uczestnicząca w akcji, prawdopodobnie myśląc, że kluczyki zgubił

ktoś z poszukujących, miała bez namysłu podnieść je z ziemi, uprzednio nie założysz rękawiczek.

– *Jeśli chodzi o but, to też nie jestem przekonana co do odpowiedniego zabezpieczenia. Policja twierdzi, że znaleźli go w zbiorniku wodnym, jednak zdjęcie buta jest zrobione na trawie. Chyba powinni udokumentować zdjęciem to miejsce, w którym but leżał...?* – takie pytanie padło z ust pani Eweliny Majewskiej, ciotki Jakuba, w rozmowie z Anną Rusczyk, dziennikarką „Gazety Śledczej”.

Ciało Jakuba znaleziono 20 stycznia. Ojciec chłopaka, który zidentyfikował zwłoki, oznajmił, że ich stan zupełnie nie wskazywał na to, żeby przez tak długi czas przebywały w tak trudnych warunkach atmosferycznych. Kuba leżał na plecach, był częściowo rozebrany (jego spodnie były opuszczone mniej więcej na wysokość kolan/ud, mimo że pasek był zapięty, miały zepsuty zamek). Na nosie Jakuba było zadrapanie, nogi były zgięte w kolanach. Okazało się, że pod kolanami znajdowała się czerwona pręga (według policji mogła ona powstać w wyniku zagięcia spodni). Lewą rękę, lekko uniesioną, „trzymał” na piersi. Prawa była wyprostowana, leżała wzdłuż ciała. Chłopak miał otwarte oczy i usta. Portfel, dokumenty, jak mówiła ciotka Kuby, były w jego kurtce. Wśród wielu osób zdziwienie wzbudzał jeszcze jeden aspekt: teren, na którym znaleziono zwłoki Kuby, to obszar bagnisty, położony pośród lasów zamieszkałych przez dziką zwierzynę. Gdyby chłopak „spacerował” tam dłużej, z pewnością wielokrotnie zapadłby się, przewracał w grząskim gruncie, a na dodatek asekurował rękoma. Jednak zgodnie z tym, co zawarto w materiałach traktujących o sprawie, ręce oraz ubrania 20-lątka były czyste.

Jak to możliwe, że tak wielu ludzi szukających Jakuba (plus helikopter) nie zauważyło zwłok wcześniej? Tym bardziej, że jest



to miejsce, w którym korony drzew, zgodnie z tym, co szeroko twierdzono, raczej nie zasłaniają widoku.

Rozmowa z przewodniczką

Pani Renata, jak uważała, dobrze zapamiętała, o czym podczas akcji poszukiwawczej rozmawiała z przewodniczką psa tropiącego. Twierdziła, że poprosiła kobietę, by ta sprawdziła teren, na którym później znaleziono zwłoki Jakuba. Wcześniej chciała pójść tam sama, jednak miała krótkie buty i zapadała się w błocie. Przewodniczka miała odpowiedzieć, że pies najpierw musi napić się wody i trochę odpocząć, a potem ruszą, by przeszukać wskazany obszar. Kiedy zwłoki już odnaleziono, mama Jakuba poprosiła, by przewodniczkę przesłuchano, a nawet

zadeklarowała chęć uczestniczenia w rozmowie. Kobietę przesłuchano, lecz nie odbyło się to przy udziale matki Jakuba.

Przewodniczka twierdziła, że tamtego dnia rzeczywiście rozmawiała z osobą, która przedstawiła się jej jako matka zaginionego, i chciała uzyskać informacje na temat działań prowadzonych na miejscu. Wtedy miała polecić kobiecie, by udała się do osoby odpowiedzialnej za koordynowanie akcji poszukiwawczej, a jako taką wskazała bodajże komendanta miejscowego komisariatu. Kobieta spytała, czy może pogłaskać psa – przewodniczka pozwoliła, po czym rozmówczyni odeszła. Przesłuchiwana tłumaczyła, że wykonywała polecenia dowódcy akcji, a szczegóły działań, jakie prowadziła, zostały opisane w notatce służbowej. Stwierdziła, że nie przypomina sobie, by rozmówczyni prosiła ją

o sprawdzenie jakiegoś dodatkowego obszaru.

Wkrótce po tym rodzina Jakuba dotarła do zapisów z monitoringu umieszczonego przy ul. Mickiewicza. Na nagraniach widać, że przewodniczka idzie w okolice miejsca, gdzie za jakiś czas ujawniono ciało. Później zaś, już po odnalezieniu chłopaka, bez problemu można dostrzec, jak jego zwłoki na noszach są stamtąd zabierane. Po interwencji rodziny nagrania zabezpieczono.

Jak można przeczytać w reportażu Marty Bilskiej: „Od miejsca ujawnienia zwłok do głównej, ul. Mickiewicza, jest dokładnie 56 metrów. Czy z takiej odległości, po 3 tygodniach, pies do wykrywania zwłok ludzkich nie wyczułby ciała leżącego na powierzchni ziemi? Pani przewodnik zeznaje też, że szła z psem wzdłuż rzeki od początku do końca. Od rzeki do miejsca odnalezienia ciała jest około 10 metrów w linii prostej. Czy z takiej odległości pies też nie podjąłby tropu?”

Rodzice Kuby poprosili o wgląd do zdjęć wykonanych z pokładu śmigłowca. W odpowiedzi usłyszeli, że akcja zwiadu realizowana za pomocą helikoptera nie była oficjalnie rejestrowana, więc takich fotografii po prostu nie ma. Po pewnym czasie najbliżsi chłopaka dowiedzieli się, że zdjęcia z powietrza są dostępne na profilu facebookowym pewnego funkcjonariusza, który brał udział w akcji poszukiwawczej. Bliscy złożyli skargę. W ramach jej rozpatrzenia akta zostały wzbogacone o rzeczony fotografie.

Prokuratura tłumaczyła przy tym, że zdjęcia były robione prywatnym telefonem policjanta. Co więcej, w zasadzie to, że je udostępnił, było wyłącznie przejawem jego dobrej woli. Rodzina analizowała fotografie bardzo dokładnie. Stwierdziła, że pewnych zdjęć może brakować – chodziło o te, które po połączeniu ich z poprzedzającymi i następnymi wskazywałyby,

że zostały zrobione właśnie tam, gdzie za jakiś czas znaleziono ciało. Bliscy Jakuba skierowali wniosek dotyczący możliwości sprawdzenia telefonu policjanta oraz przekazania niedołączonych zdjęć. Prokuratura natomiast nie widziała powodu, by uważać, że nie wszystkie zdjęcia zostały udostępnione.

Nadto, według twierdzeń ciotki Jakuba, oprócz 29 grudnia helikopter przeszukiwał okoliczne tereny jeszcze 30 grudnia i 12 stycznia. Policja zapewniała, że nad tym miejscem, gdzie później odnaleziono Kubę, nie latano. Rodzina dotarła jednak do świadka, który 12 stycznia nagrał helikopter znajdujący się praktycznie dokładnie nad tym fragmentem terenu, na którym niedługo potem stwierdzono obecność zwłok. Na dodatek, jak przekonywała matka Kuby, od momentu zgłoszenia zaginięcia syna do 7 stycznia nie przydzielono im konkretnej osoby, która poprowadziłaby poszukiwania. Skutkowało to tym, że każdego następnego dnia rodzina musiała od nowa tłumaczyć kolejnemu policjantowi, co się stało – i co ustalił ten, który już zakończył zmianę.

Ewelina Majewska, ujawniła, że całą sprawą, oprócz służb, bliskich Jakuba i ochotników, zajmował się także detektyw z Łodzi, lecz jego działania ograniczyły się do rozwieszenia kilku plakatów na terenie Białej Rawskiej i (za dodatkową opłatą) przeprowadzenia badania wariograficznego. Swoją pracę oszacował na kilka tysięcy złotych, a na dodatek w kilku kwestiach podobno okłamał rodzinę Jakuba, dlatego zrezygnowali z jego usług.

Wyniki sekcji

Podczas sekcji, którą przeprowadzono 23 stycznia 2015 roku w Zakładzie Medycyny Sądowej w Łodzi, stwierdzono, że u chłopaka wystąpiły obrzęk oraz przekrwienie mózgu, płuc i innych



narządów wewnętrznych. Żołądek Kuby był praktycznie pusty. W przelyku nie znaleziono resztek jedzenia, co dowodziło, że chłopak nie wymiotował. Z przodu, pod kolanami, dało się zauważyć czerwoną pręgę. Ustalono, że do śmierci młodego mężczyzny doszło najprawdopodobniej tej nocy, której zaginął. Orzeczono, że na podstawie przeprowadzonej sekcji i wyników badań dodatkowych nie można w sposób pewny określić przyczyny zgonu Jakuba Kazały. Uwzględniając jednak okoliczności jego zaginięcia oraz ujawnienia ciała, można przyjąć, że chłopak najprawdopodobniej

zmarł w wyniku nieomagi krążeniowo-oddechowej występującej w przebiegu hipotermii. Sekcyjnie nie stwierdzono obrażeń mogących wskazywać na udział osób trzecich, a kwestia częściowego rozebrania zwłok, jak informowano, może być związana z głębokimi zaburzeniami orientacji i odczuwania bodźców termicznych w przypadku osób doświadczających głębokiego wychłodzenia (ściągających ubrania z powodu fałszywego uczucia gorąca). Pozostawała kwestia alkoholu bądź innych substancji odurzających. Znajomi wszakże wspominali, że Kuba pił na imprezie.

Badanie rzeczywiście wykazało, że miał w organizmie alkohol, jednak bardzo dokładne określenie jego zawartości z racji zmian pośmiertnych było niemożliwe. Nie wykryto obecności środków odurzających.

Niepokojący w sprawie pozostawał również inny temat: do miejsca, w którym znaleziono ciało Jakuba, można dojść z różnych stron. Jednym z nich jest wąska ścieżka. Na tej nie było jednak żadnych śladów na śniegu w noc zaginięcia. Kuba musiałby więc przyjść z drugiej strony, na co wskazywały odnalezione kluczyki oraz but. Problem w tym, że wówczas, mimo ciemności i na mrozie, będąc w jednym bucie (chyba że zgubił go na przykład podczas hipotetycznego cofnięcia się), miałby do pokonania niezwykle nieprzyjazną, bagnistą okolicę, co wydawało się niezwykle trudne, a na dodatek nielogiczne.

Na zdjęciach z sekcji, według tego, co mówiła ciotka chłopaka, uwieczniono obie stopy i obie wyglądały identycznie. „Jak to jest możliwe, że przeszedł ok. 70 metrów po zmrożonej ziemi, pełnej gałęzi i patyków, bez buta, i nie pokaleczył stopy...?! Odpowiedzi nam nie udzielono” – stwierdziła kobieta w pewnym wywiadzie.

Jeden z przyjaciół Kuby zdecydował się nawet na wzięcie udziału w eksperymencie. Doświadczenie było bardzo proste: kolega po uwzględnieniu warunków atmosferycznych zdecydował się przejść drogę podobną do tej, jaką najprawdopodobniej musiałby pokonać Jakub. Wyniki były jasne: mimo asekuracji, którą dysponował, brodzenie w grząskim terenie należało do zadań wyjątkowo trudnych, a po wszystkim jego buty były niezwykle brudne.

Chociaż podczas sekcji pobrano materiał spod paznokci Jakuba, próbki nie przebadano od razu – zrobiono to dopiero na wniosek jego rodziców. I tu wynik okazał się dość tajemniczy: przebadana substancja nie

zgadzała się z DNA Kuby, jednak podobno było jej zbyt mało, by dało się mówić o szerszej analizie. Co ciekawe, w opinii uzupełniającej biegłego zwrócono uwagę na fakt, że objawy, które wystąpiły u Jakuba, mogły świadczyć o duszeniu, lecz ze względu na brak widocznych obrażeń na ciele tę teorię wykluczono.

Nie mniej tajemnicze były bilingi, do których dotarła rodzina zmarłego. Wynikało z nich, że były chłopak Aleksandry rozmawiał przez telefon z policjantem z Komendy Powiatowej Policji w Rawie Mazowieckiej, a jedna z rozmów miała miejsce podobno w dniu, w którym wystawiono pismo o wszczęciu dochodzenia w sprawie zaginięcia chłopaka. Na dodatek rozmowy były prowadzone z innego numeru Sebastiana niż ten, który został podany przy przesłuchaniu. Sytuacja z Aleksandrą również nie napawała optymizmem: postanowiono przesłuchać ją za pomocą wariografu. Miało to przynajmniej częściowo rozwiązać wątpliwości. Niestety dziewczyna na badanie dojechała pod wpływem niedozwolonych substancji, a na kolejne nie chciała się zgodzić. Miała do tego prawo. Badaniu wariografem za sprawą wynajętego detektywa poddała się chociażby druga z dziewczyn, która była na imprezie. Wynik optował za tym, że mówiła prawdę.

Rodzina Kuby poprosiła biegłego sądowego, aby na jej koszt przeprowadził eksperyment procesowy: Działanie polegało na ułożeniu młodego mężczyzny, postury podobnej do 20-latką i zbieżnie ubranego, w takiej samej pozycji i w tym samym miejscu, gdzie odnaleziono Kubę. Od strony, którą rzekomo miał udać się Kuba, wysłano człowieka, który pierwszy raz był w Białej Rawskiej. W celu zarejestrowania obrazu zamontowano mu kamerę. Wskazana osoba w kilkanaście minut dotarła

do miejsca, w którym leżała postać. Wyniki przeprowadzonych działań optowały za stanowiskiem, że ciało Jakuba podrzucono. Jednak z drugiej strony policja zapewniała, iż wszelkie czynności przeprowadziła zgodnie ze sztuką, a to, co stało się z chłopakiem, było po prostu wynikiem nieszczęśliwego wypadku. Był lokalnej społeczności zdawał się powracać do normalności. Również Ola zaczęła układać sobie życie.

Sprawę umorzono

W toku działań służby dotarły również do innych niepokojących treści, które wysyłano do Kuby z nieznanego numeru. Były to wiadomości typu: „Czekam na kasę do niedzieli”. Chłopak napisał, by ktoś powściągnął emocje, na co w odpowiedzi otrzymał: „No może trochę za ostro, ale myślę, że to nie zburzy naszej namiętnej przyjaźni”. Po śmierci Kuby wyszło na jaw, że starał się o kredyt. To też było dość podejrzane, ponieważ wszelkiego rodzaju pieniądze na wyjazdy czy wydatki otrzymywał od rodziców, więc raczej nie było konieczności, by się zapożyczał.

Jakiś czas temu do rodziny Kuby zgłosił się nowy świadek. Oznajmił, że słyszał intrygującą rozmowę. Wynikało z niej, że w śmierć chłopaka ktoś jest zamieszany. Człowiek ten zadeklarował, że może to zeznać, jednak pod warunkiem, że postępowanie zostanie przeniesione do innej prokuratury. Wyznał, że boi się z uwagi na układy, które tu panują. By uczcić pamięć 20-latką i pomagać innym, zawiązano nawet Stowarzyszenie im. Jakuba Kazały – Iskierkę.

Choć sprawę umorzono 30 czerwca 2017 roku, nadal wiele osób uważa, że to, co stało się z Kubą, nie było tylko zwykłym wypadkiem... ■

Łukasz Magrzyk

Psychopata wiedział, co robi

KAROL REBS

Morderca cicho zapukał do drzwi, otworzono mu i wszedł. To musiał być człowiek, którego dobrze znali, a wizyta raczej nie miała oficjalnego charakteru, ponieważ Franciszka została zamordowana w chwili, gdy robiła makijaż...



Pierwszy numer „Kuriera Lubelskiego” ukazał się 24 marca 1957 roku. Nowa popołudniówka miała być przeciwwagą dla „Sztandaru Ludu”, lubelskiego organu prasowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. „Kurier” wystartował w iście amerykańskim stylu, zapraszając czytelników do poszukiwania „skarbu”. Były to ukryte na Starym Mieście kupony, upoważniające do odbioru atrakcyjnych nagród, ufundowanych przez bank PKO. Można było wygrać: książeczkę oszczędnościową z pierwszym wkładem na samochód (Warszawę lub Wartburga), adapter lub szwajcarską, elektryczną maszynkę do golenia. A to dopiero początek. Nie upłynęła nawet doba od pierwszego wydania, a trafił się temat, o jakim śnią po nocach adepci dziennikarstwa. Na dodatek niemal pod nosem redakcji, mieszczącej się wówczas w dziewiętnastowiecznej willi przy ulicy 3 Maja 14 (ścisłe centrum Lublina).

Krew na podłodze w przedpokoju

Dżdżysty chłodny poranek, 25 marca 1957 roku. Godzina 9.30. Z kamienicy pod numerem 22 wybiega młody mężczyzna.

– *Milicja, napad!* – krzyczy nieprzytomnym głosem.

Kilkanaście minut później pod domem zatrzymuje się kawalkada samochodów milicyjnych. W dwupokojowym mieszkaniu na 3. piętrze, zajmowanym przez rodzinę Gorzelów, roi się od mundurów, techników i ubranych po cywilnemu tajniaków. Dołącza lekarz sądowy i prokurator.

Widok jest przerażający. W przedpokoju kałuża pociemniałej krwi. Krwawe ślady prowadzą do sypialni, gdzie leżą 2 martwe ciała: kobiety i mężczyzny. Oboje w średnim wieku. To gospodarze: Franciszka i Mieczysław Gorzelowie. Mają roztrzaskane głowy. Zdaniem lekarza, ponieśli śmierć na skutek

licznych uderzeń twardym, ciężkim narzędziem o tępych krawędziach. Początkowo przypuszczano, że narzędziem zbrodni był klucz francuski, znaleziony w mieszkaniu (potem okazało się, że Gorzelowie zginęli, od ciosów zadanych młotkiem). Zgon, zdaniem lekarza, nastąpił zaledwie kilkadziesiąt minut przed znalezieniem ciał.

W chwili znalezienia zwłok w mieszkaniu było dwoje domowników. Ryszard Gorzel, starszy syn Franciszki i Mieczysława oraz ich szwagierka, żona brata gospodarza. Druga rodzina Gorzelów zajmowała osobny pokój. Klementyna Gorzel nie wchodziła w poniedziałek rano do sypialni szwagrów. Zajrzał tam natomiast 20-letni Ryszard, który pracował jako mechanik w warsztacie przy ulicy Orlej (zaledwie kilka ulic od 3 Maja) i wpadał do domu na drugie śniadanie.

– *25 marca pracowałem od godziny 7 rano i po dwóch godzinach zgłodniałem. W domu był bigos z poprzedniego dnia... – zeznawał do protokołu, przystojny młodzieniec z fryzurą na Jamesa Deana. – W mieszkaniu nie zastałem rodziców. Byłem przekonany, że są w pracy. Po śniadaniu miałem wracać do warsztatu. Wychodząc, spojrzałem w kierunku sypialni rodziców. Dopiero wtedy zauważyłem krew na podłodze w przedpokoju. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem ich martwych...*

W pokoju Franciszki i Mieczysława był straszliwy bałagan. Z rozwartej na oścież szafy wyciągnięto ubrania, a na tapczanie porzrucano dokumenty. Pierwsze wrażenie: ktoś tu czegoś szukał. Być może złota lub innych kosztowności. Wszystko wskazywało na mord rabunkowy!

To nie było włamanie!

Gorzelowie należeli do ludzi dobrze sytuowanych. Franciszka była prezesem Spółdzielni Pracy Usług Kolejowych w Lublinie. Pełniła też

funkcję radnej Miejskiej Rady Narodowej i przewodniczącej lubelskiej Ligi Kobiet. Mieczysław był aktywistą ZBoWiD (Związek Bojowników o Wolność i Demokrację – przyp. red.). Pracował w zarządzie okręgowym tej organizacji. Gorzelowie zajmowali obszerne – jak na tamte czasy – mieszkanie w kamienicy, w prestiżowej części miasta. Oboje należeli do PZPR. Być może złodziej i morderca w jednej osobie liczył na obfity łup?

Jednakże już w trakcie wstępnych czynności śledczych, pojawiły się wątpliwości, co do prawdziwego motywu zabójstwa. Co prawda sprawca ukraść z portfela Gorzelowej 450 zł, ale – jeśli szukał kosztowności – to dlaczego nie zdjął drogiego zegarka, jaki Franciszka miała na przegubie ręki? Czemu nie zabrał z kieszeni Mieczysława Gorzela ponad 2 tys. zł?

Kolejny znak zapytania to sposób w jaki morderca dostał się do mieszkania. Ustalono, że zgon małżonków nastąpił około godziny 7. Ryszard Gorzel zeznał, że wyszedł do pracy około 6.50. Parę minut wcześniej mieszkanie opuścili: młodszy syn Gorzelów, Janusz (udał się do szkoły) oraz brat Mieczysława – Bronisław (poszedł do pracy). W domu została Franciszka, która szła do pracy nieco później, jej mąż (przebywający na zwolnieniu lekarskim) oraz szwagierka Klementyna (akurat tego dnia nie pracowała). Zabójca musiał do nich przyjść dosłownie chwilę po opuszczeniu mieszkania przez Ryszarda. Co ciekawe, ani nie stwierdzono śladów włamania, ani nikt nie słyszał odgłosów dobijania się do Gorzelów czy też podniesionych głosów, jakie zazwyczaj towarzyszą takim sytuacjom. A przecież o tej porze ludzie byli już na nogach, przygotowując się do wyjścia do pracy lub szykując dzieci do szkoły.

Przyjmując wersję odwiedzin, należałoby założyć, że morderca cicho zapukał, otworzono mu

i wszedł. Jednakże o tak wczesnej godzinie Gorzelowie nie wpuściliby do mieszkania obcej osoby. To musiał być człowiek, którego dobrze znali, a wizyta raczej nie miała oficjalnego charakteru, ponieważ Franciszka została zamordowana w chwili, gdy robiła sobie makijaż.

Mówiło o tym całe miasto

Zabójstwo prominentnych aktywistów partyjnych odbiło się w Lublinie szerokim echem. Przez kilka pierwszych dni po zbrodni był to temat nr 1 w mieście. Nawet zbliżająca się szybkimi krokami inauguracja wiosennej rundy rozgrywek piłkarskich i nadzieje kibiców, że Stal FSC Lublin, po kiepskiej jesieni pokaże wreszcie klasę, zeszły na dalszy plan. Prasa umiejętnie podgrzewała nastroje, codziennie donosząc o szczegółach śledztwa. Po gazety ustawiały się długie kolejki, a pewnego dnia nawet przewrócono kiosk „Ruchu”, żeby tylko dostać najnowszy numer „Kuriera”.

Wieści dochodzące z prokuratury i milicji były coraz bardziej zaskakujące, bowiem podejrzenia zaczęły koncentrować się na synu ofiar. Na ubraniu Ryszarda Gorzela ujawniono ślady krwi, należącej do jego matki. Na skroni miał niewielką świeżą szramę. Tłumaczenia młodzieńca, że poplamił się krwią, gdy pochylił się nad martwą matką, a zadrapał w pracy nie przekonująco śledczych. Aczkolwiek nie dowodziły, że Gorzel kłamie.

Najdziwniejsze było jednak zachowanie Ryszarda po znalezieniu w sypialni zwłok rodziców. Gwałtownie wybiegł z mieszkania, krzyżąc: „Milicja, napad!”. Najwyraźniej był w szoku, co zważywszy na okoliczności było całkowicie zrozumiałe. Jednakże, nie biegnąc z sypialni do drzwi wyjściowych po linii prostej, chociaż tak jest najbliżej. Ominął widniejącą w przedpokoju krew. W jakim celu to zrobił?

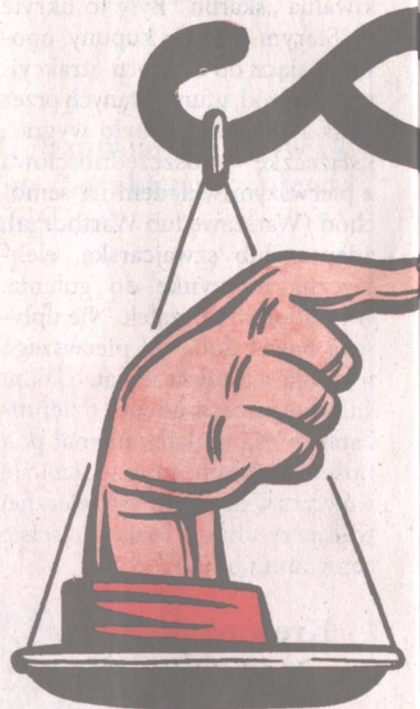
Mimo takich znaków zapytania, organy ścigania ani dziennikarze nie mówili wprost, że Ryszard Gorzel zamordował rodziców. Jednak ludzie swoje wiedzieli. Nie czekali na szczegółowe wyniki sekcji zwłok i badań kryminalistycznych. Dla części lublinian Ryszard Gorzel już był podwójnym mordercą! Można by się spodziewać, że byli przepełnieni potępieniem dla osobnika, który złamał czwarte przykazanie boskie. Nic bardziej mylnego. Na wielu twarzach można było dostrzec złośliwą satysfakcję! Bo chociaż syn zabójca, to takich ludzi jak Franciszka i Mieczysław wcale nie było im szkoda.

Dlaczego z taką zjadliwą nienawiścią wyrażano się o zamordowanych? Odpowiedź tkwi w przeszłości Gorzelów. Oboje pochodzili z rodzin chłopskich. Oboje mieli zdecydowanie rewolucyjne poglądy polityczne. Podczas okupacji niemieckiej walczyli w ludowych oddziałach partyzanckich. A po tzw. wyzwoleniu w 1944 roku organizowali struktury PPR-owskie w miejscowości Kozice, gdzie mieszkali w czasie wojny z całą rodziną. W 1945 roku przeprowadzili się do Lublina. Zrobili to w obawie o życie. Aktywność polityczno-społeczna Gorzelów ściągnęła na nich gniew podziemia niepodległościowego. Na małżonków wydano wyrok śmierci, wielokrotnie im grożono i ostrzeliwano ich dom.

W Lublinie Franciszka Gorzelowa pięła się po szczeblach kariery politycznej i zawodowej, mimo iż ukończyła tylko sześć klas szkoły powszechnej. Nie cieszyła się sympatią współpracowników. Była apodyktyczna, wredna, krzywdziła ludzi i wszędzie widziała wrogów. Partia była dla niej ważniejsza od synów, których prawie nie dostrzegała. I za to wszystko spotyka w końcu Gorzelów zasłużona kara. A sprawiedliwość została wymierzona ręką syna. Czy zresztą syna? W powodzi plotek można było usłyszeć,

że Ryszard to dziecko żydowskie, które Gorzelowie wzięli na wychowanie, po zamordowaniu rodziców chłopca...

To bzdura, ale polityczny wątek zabójstwa lansował nawet... związany z PZPR-em „Sztandar Ludu”. Jednakże organ prasowy „przewodniej siły narodu” nie oskarżał o morderstwo Ryszarda



Gorzela, lecz sugerował, że zrobili to członkowie „reakcyjnej bandy”, która od 1945 roku prześladowała tę znaną rodzinę.

To ja zamordowałem

Prawda o zbrodni była jednak banalna. Badania laboratoryjne znalezione podczas rewizji w warsztacie na Orlej młotki, którym zabito małżonków, ponad wszelką wątpliwość, wykazały na narzędziu zbrodni ślady należące do syna ofiar. To ostatecznie pogrążyło Ryszarda Gorzela. 29 marca mężczyzna został aresztowany, a następnego dnia przyznał się do zamordowania rodziców.

Dlaczego? Chłopak kochał się w dziewczynie o imieniu Danuta. Dziewczyna

kochała jego. Chcieli się pobrać. Danusia nalegała na ślub jeszcze przed Wielkanocą, która w 1957 roku wypadła 21 kwietnia. Został więc niecały miesiąc. Ryszard obiecywał, że wszystko załatwi z rodzicami, ale zdawał sobie sprawę, że czeka go ciężka przeprawa. Matka nie akceptowała wyboru



syna. Nie chciała żeby żenił się z „panną telefonistką” z poczty. Nie wiedzieć czemu, źle się jej kojarzyło to zajęcie. O Danucie mówiła: „pijaczka”, a o jej rodzicach (malarzu pokojowym i gospodyni domowej) – „element niepewny klasowo z odchyleniem dewocyjnym”.

W poniedziałek o świcie, po wyjściu z domu młodszego brata i stryja, Ryszard wziął się na odwagę i poszedł do sypialni rodziców. Franciszka malowała szminką usta.

– *Mamo, szykuj suknię na ślub* – powiedział wesołym tonem.

Reakcja Gorzelowej była taka, jak się spodziewał. Odparła ostro, że nie zgadza się na małżeństwo z Danutą. A jak Rysiek nie posłucha, to może zapomnieć o pomocy finansowej. Ryszard zaczął się stawiać, dlatego matka

uderza go w twarz (stąd wzięło się zadrapanie na jego skroni). Po tym policzku Ryszard przestał nad sobą panować. Na parapecie dostrzegł młotek (dzień wcześniej sam go tam zostawił, kiedy naprawiał okno). Chwytny go i zadał matce cios w prawą skroń. A potem, jeden po drugim sześć kolejnych.

Wybiegł z sypialni i w przedpokoju uderzył się z ojcem, który szedł do kuchni. Do niego nie czuł złości, ale był jedynym świadkiem... Trzymanym w ręce, wciąż zbroczonym krwią matki, młotkiem uderzył ojca w głowę. Mężczyzna upadł, a wtedy syn wciągnął jego ciało do sypialni i jeszcze kilkakrotnie uderzał...

Po wszystkim Ryszard postanowił upozorować zabójstwo na tle rabunkowym. Spieszył się, bo przecież w domu była stryjenka. Dlatego zabrał tylko gotówkę z portfela matki i wyrzucił rzeczy z szafy. Następnie owinął młotek w gazetę i pobiegł do pracy. Narzędzie zbrodni ukrył w warsztacie, w nadziei, że milicja go nie znajdzie. Starał się zachowywać naturalnie. Po dwóch godzinach uznał, że będzie podejrzane jeśli, jak co dzień, nie przyjdzie do domu na drugie śniadanie. Wychodząc z pracy kluczek francuski (który potem zostawił w mieszkaniu, żeby zmylić śledczych).

Stryjenka już wstała. Rozmawiał z nią, jak gdyby nigdy nic, pałaszując bigos. Potem niby przez przypadek dostrzegł krew w przedpokoju, wpadł do sypialni i odegrał przedstawienie.

Wyrok mógł być tylko jeden

Proces Ryszarda Gorzela rozpoczął się 27 czerwca 1957 roku przed Sądem Wojewódzkim w Lublinie. Tak jak śledztwo, wzbudził ogromne zainteresowanie i niespotykane emocje. Prokurator nie pozostawił na oskarżonym suchej nitki, przedstawiając go jako głąboko

zdemoralizowanego, żyjącego na koszt rodziców „złotego” młodzieńca, który od najmłodszych lat sprawiał problemy wychowawcze. Dwukrotnie relegowany ze szkół za złe zachowanie, jako pracownik – niezdyscyplinowany, arogancki i leniwy. W czasie śledztwa zachowywał się wyzywająco, okazywał wesołość.

– *To psychopata, który jednak wiedział, co robi i powinien ponieść za to surową karę* – grzmiał prokurator.

Tymczasem morderca wzbudził aplauz zgromadzonej w sali rozpraw publiczności niezależnie od tego, jak źle mówił o nim oskarżyciel. Podczas procesu Ryszarda Gorzela przed gmachem sądu gromadziły się tłumy.

Narzeczona oskarżonego przyznała, że zależało jej na małżeństwie z Ryszardem, nalegała na szybki ślub. Przedstawiła swojego chłopaka w najlepszym świetle. Znaczna część jej zeznania została uznana za niewiarygodną. Sąd z całą mocą podkreślił, że dziewczyna jest moralnym współsprawcą tej zbrodni. Z ciekawostek należy jeszcze odnotować wystosowaną do sądu prośbę Danuty o zezwolenie na jej ślub z oskarżonym. Ponoć do końca nie wierzyła w jego winę i wciąż go kochała. Zgody nie uzyskała.

1 lipca 1957 roku Ryszard Gorzel został skazany na podwójną karę śmierci przez powieszenie oraz na pozbawienie praw publicznych i obywatelskich na zawsze. W ostatnim słowie oskarżony powiedział, że nie chciał zabić rodziców. Obrona apelowała, ale bezskutecznie. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Wyrok został wykonany. ■

Karol Rebs

Czy wiesz, że...

W Polsce karę śmierci można było wykonywać publicznie aż do 1950 roku.

Z kraju i ze świata

Bez uprawnień

Zapewne to nie pierwszy i nie ostatni raz, gdy ktoś próbuje udawać policję. Tym razem w wyjątkowo głupi sposób. Prawdziwi policjanci otrzymali zgłoszenie, że po obwodnicy Lubartowa (woj. lubelskie) porusza się szare bmw, które próbuje zatrzymać innych kierowców za pomocą świateł świadczących o tym, że jest to pojazd uprzywilejowany. Na miejsce wysłano patrol z zadaniem zbadania tej sprawy. Mundurowi próbowali zatrzymać bmw, jednak jego kierowca nie reagował na sygnały. Przypadek zdecydował, że droga ucieczki została zablokowana, ponieważ pojazd wjechał na remontowany fragment ulicy i zawiesił się na kraężniku. Bmw podróżowały 4 osoby, za kierownicą siedział 31-latek z Lubartowa, który miał pół promila alkoholu we krwi i nie posiadał prawa jazdy. W bagażniku auta znaleziono natomiast narkotyczny susz roślinny. Całą czwórkę zatrzymano do wyjaśnienia sprawy. 31-latkowi grozi do 3

Mężczyzna idzie przez miasto cały poobijany (sinia-ki pod okiem, rozwalona warg-
ga) z walizką w ręku. Spotyka swojego kumpla. I kumpel pyta się:

- Stary, kto cię tak urządził?

- Ech, teściowa mnie pobiła.

- Gdyby mnie teściowa pobiła, to chyba bym ją poćwiartował.

- A ty co myślisz, że co ja w tej walizce niosę?!

lat pozbawienia wolności oraz wysoka grzywna. ■

Niezdanie z przeznaczeniem

Na przysklepowych parkingach dochodzi różnych sytuacji – ktoś komuś zajędzie drogę, zajmie miejsce, uszkodzi auto otwieranymi z impetem drzwiami. Jednak 61-latek z Łodzi rozbił bank. Mężczyzna podjechał pod sklep i zaparkował przodem. Udał się na

zakupy, a kiedy wrócił zauważył, że ktoś podjechał tak blisko jego samochodu, że nie jest w stanie wsiąść od strony kierowcy. Ulokował się zatem na siedzeniu pasażera i zaczął sterować autem za pomocą kijków do nordic walking, które miał w bagażniku. Jak się łatwo domyślić, taki manewr nie mógł się udać. 61-latek wjechał pojazdem w ścianę budynku sklepu. Jego pracownik wezwał policję, która nałożyła na kierowcę mandat karny. Całe szczęście nikt nie został ranny, ponieważ pracownik w momencie zdarzenia nie siedział przy ustawionym przy uszkodzonej ścianie biurku. ■

Nowe klucze

Kto nie marzy o posiadaniu własnego domu? Pewna 43-letnia Amerykanka postanowiła, że zamiast na niego zapracować, „pożyczy” go sobie od kogoś innego. Jeden z mieszkańców kalifornijskiego miasta Coronado zauważył w sąsiednim domu podejrzaną aktywność. Wiedział, że właściciel wyjechał, zresztą była





to jego rodzina, więc natychmiast go powiadomił. Ten z kolei zadzwonił na policję. Funkcjonariusze odpowiedzieli na wezwanie i stawili się pod wskazanym adresem. Sąsiad wręczył im zapasowy klucz, który jednak nie pasował do zamka. Na trawniku przed budynkiem mundurowi zauważyli inny zamek i kilka metalowych części. Udało im się dostać do środka, bowiem tylne drzwi były otwarte. Na drugim piętrze zastali kobietę. Aby wejść do posesji oszukała ślusarza, że to jej dom i zgubiła do niego klucze. Ten wyrobił jej nowe. 43-latką została zatrzymana. ■

Mały terrorysta

Wydawałoby się, że dwuletnie dziecko nie stanowi dla nikogo zagrożenia, a jednak... Straż pożarna w Solcu Kujawskim otrzymała zgłoszenie dotyczące zamkniętej na balkonie kobiety. Gdy strażacy przybyli na miejsce okazało się, że sprawcą całego zamieszania jest dwuletni chłopiec, który nie reagował na prośby matki o otwarcie balkonowych drzwi. W mieszkaniu, którego drzwi wejściowe były zamknięte na klucz, znajdował się wraz z dziewięciomiesięcznym dzieckiem. Z terrorystami się negocjuje, ale w tym przypadku

Policjant po krótkim pościgu zatrzymuje malucha, kierowca gramoli się z niego będąc w stanie lekko nieświeżym.

Policjant pyta:

- Co, było parę kielonków, nieprawdaż?

- Panie władzo, nic w ustach nie miałem, moja żona zrobiłaby mi awanturę.

- A czy pan wie, że żona panu wypadła z samochodu dwie przecznice temu?

- Wypadła? Dzięki Bogu, a ja już myślałem, że nagle straciłem słuch!

Siedzą dwaj policjanci w pociągu, w tym samym przedziale. Nagle jeden policjant czytając książkę, mówi:

- Naprawdę?

- Niemożliwe!

- Nie wiedziałem.

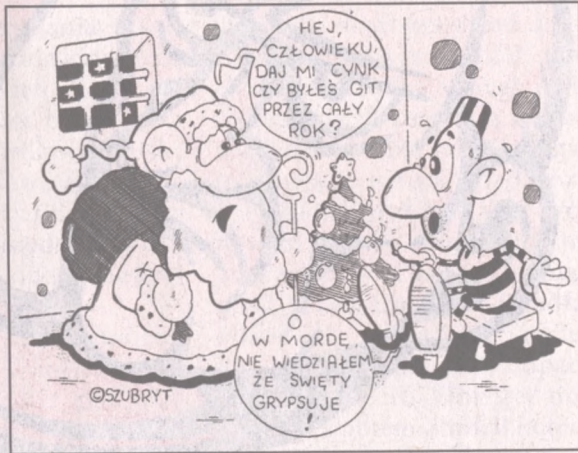
- Nieprawdopodobnie!!!

A na to ten drugi policjant mówi:

- Hej, stary, co ty czytasz?

- Słownik ortograficzny.

strażacy nie mieli wyjścia. Z zeluści swojego wozu wyciągnęli broń, którą trzymają na takie przypadki... pluszowego misia. Obiecali dwulatkowi, że jeśli otworzy drzwi, otrzyma zabawkę na własność. To był wystarczający argument – akcja zakończyła się powodzeniem. ■

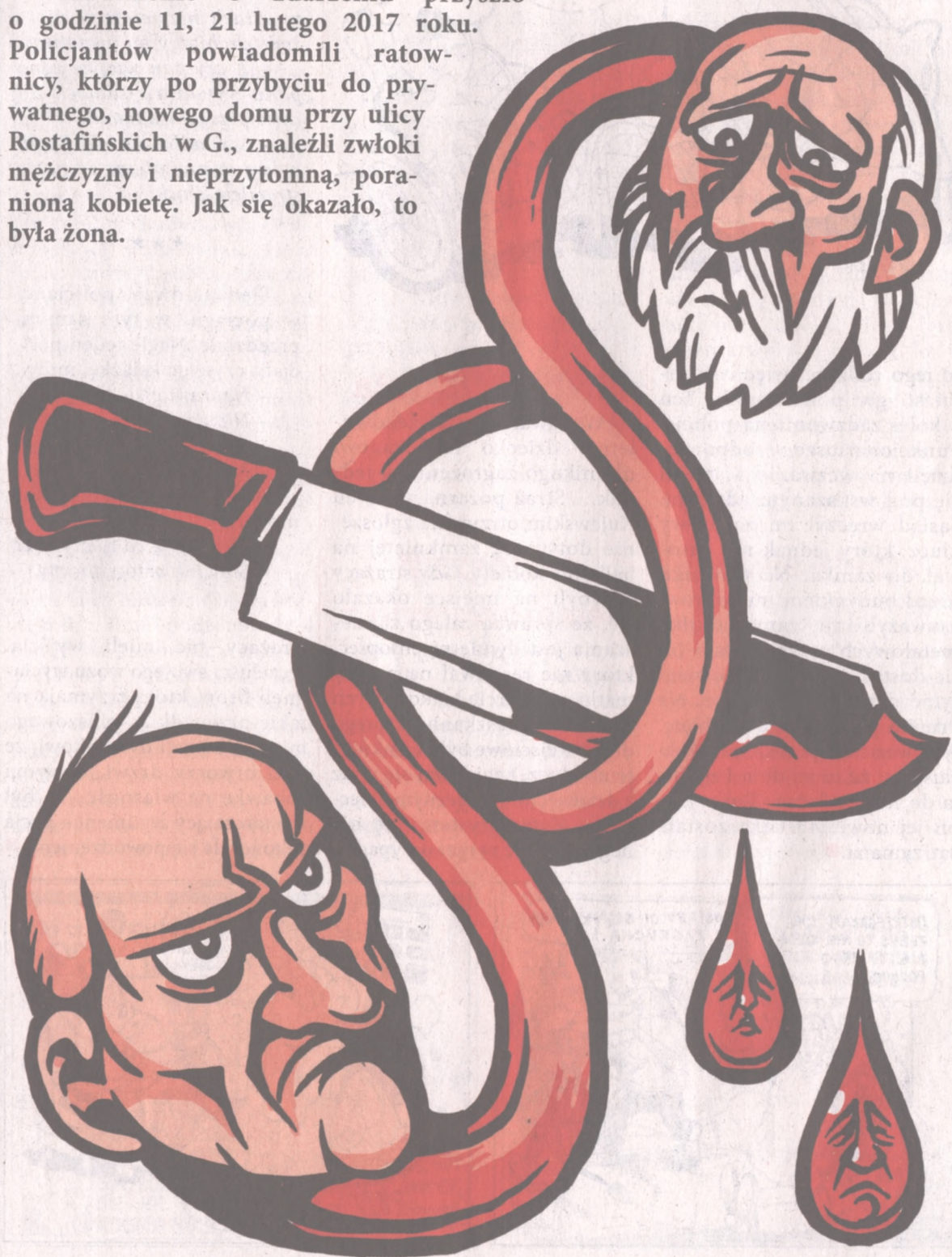


Nie chciałem

Dariusz GIZAK

Zawiadomienie o zdarzeniu przyszło o godzinie 11, 21 lutego 2017 roku.

Policjantów powiadomili ratownicy, którzy po przybyciu do prywatnego, nowego domu przy ulicy Rostafińskich w G., znaleźli zwłoki mężczyzny i nieprzytomną, poranną kobietę. Jak się okazało, to była żona.



Pogotowie poinformowało, że to ona zadzwoniła po karetkę, kiedy była jeszcze przytomna. Mundurowi na miejscu pojawili się równo z odjazdem karetki pogotowia i zdążyli tylko wymienić z ratownikami zdawkowe informacje. Dowiedzieli się, że kobieta została wielokrotnie raniona nożem i od podobnych ciosów zginął też jej mąż. Musiała więc widzieć sprawcę. Biorąc pod uwagę ewentualny, ponowny atak na tak ważnego świadka, policjanci poinformowali stanowisko koordynujące o konieczności skierowania do szpitala policjantów, którzy zapewnią bezpieczeństwo rannej kobiecie.

Zabezpieczono teren zdarzenia, czyli posesję, dom i najbliższą okolicę. Zwłoki mężczyzny leżały na schodach przy drzwiach wejściowych do domu. Nawet z większej odległości widać było szeroką ranę z lewej strony szyi oraz dwa wąskie przecięcia na koszulce w okolicach brzucha i klatki piersiowej.

Sekcja zwłok potwierdziła, że rana na szyi powstała na skutek cięcia boczną powierzchnią stanowiącą ostrze najprawdopodobniej noża. Natomiast rany na tułowiu były efektem pchnięcia w to miejsce nożem o wąskiej klindze. Uznano, że mogło to być to samo narzędzie.

Ciosy zadane w brzuch trafiły w przeponę i żołądek oraz jelito cienkie, ale przyczyną śmierci było cięcie na szyi, które uszkodziło tętnicę i wiele innych naczyń krwionośnych. Narzędzie, którym zadano ten cios, musiało być wyjątkowo ostre i użyto go z dużą siłą. Ostrze dotarło prawie do kregów szyjnych. Krwotok był tętniczy, bardzo gwałtowny. Ślady krwi znajdowały się zarówno na schodach, drzwiach jak i na jasnej elewacji budynku. Wyglądało to naprawdę makabrycznie. Zraniony śmiertelnie człowiek wykrwawił się bardzo szybko i zmarł.

Podobnie zalany krwią był łącznik kuchni z jednym z pokoi na parterze. Nie była to jednak krew zamordowanego mężczyzny, który padł na schodach nie wchodząc do domu. Po tych śladach stwierdzono, jeszcze przed przesłuchaniem rannej kobiety, że została ona zaatakowana w przedpokoju skąd krwawiąc uciekła do pokoju i tam upadła na podłogę.

Sprawca uznał widocznie, że i ona nie żyje. Zostawił ją w pomieszczeniu i poszedł do kuchni. Pozostawione przez niego ślady wskazywały na to, że nad kuchennym zlewem zmywał krew z rąk i pewnie z odzieży, a także z narzędzia zbrodni, które zabrał ze sobą. Takie zachowanie uznano za postępowanie z pełną premedytacją.

Wszystkie wnioski z oględzin miejsca zdarzenia potwierdziły się później podczas dalszych czynności.

Porachunki

Przez pierwsze 2 dni lekarze nie pozwalali na przesłuchanie, czy chociażby rozmowę z poraną kobietą, więc śledczy zajęli się innymi sprawami, które należało pilnie wykonać.

Ponieważ w trakcie oględzin zabezpieczono kilka bardzo wyraźnych krwawych śladów butów na podłodze w pokoju i na terakocie w kuchni, był to już jakiś punkt zaczepienia w kierunku identyfikacji sprawcy.

Niestety, rozpytania sąsiadów i poszukiwania czynnych kamer na pobliskich ulicach nic nie dały. Dzielnica była w tym miejscu typowo willowa, z niską zabudową i trudno było o działające kamery przy sklepach, czy biurach. A sąsiadów w większości przed południem nie było w domu.

Liczono też dosyć mocno na informacje z rozpoznania operacyjnego, jakie posiadali policjanci z pionu kryminalnego. Zamordowanym mężczyzną

był bowiem 34-letni Rafał S., wielokrotnie karany przestępca zajmujący się wymuszeniami rozbójniczymi i członek grupy przestępczej, która kilka lat wcześniej „rządziła” w G. Po aresztowaniu części jej członków pozostali musieli uznać wyższość nowej grupy, która wypełniła lukę w przestępczym obrazie miasta. Policjanci przyjęli, więc wstępne założenie, że zabójstwo Rafała S. mogło być wynikiem porachunków, a nawet skutkiem próby odzyskania przez jego grupę znaczenia. W tej sytuacji żona została by zaatakowana wyłącznie, jako przypadkowy świadek.

Szukając jego ewentualnych wrogów, nie natrafiono na jakiegokolwiek poważniejsze poszlaki. Człowiek ten, jak większość kryminalistów, miał zarówno współników, jak i nieprzyjaciół, ale zdobyte informacje nie wskazywały na żaden istotny zatarg, czy odgrywanie przez niego znaczącej roli w przestępczym półświatku. Wyglądało na to, że trochę się uspokoił i próbował żyć w miarę w zgodzie z prawem. Te wiadomości potwierdziła jego żona, gdy mogła już rozmawiać z policjantami. Niestety, jej zeznania bardzo rozczarowały policjantów, którzy oczywiście liczyli na to, że widziała sprawcę, więc jeśli nie znała go wcześniej, to przynajmniej poda im dokładny rysopis i sprawa zostanie dość łatwo rozwiązana.

Kobieta zeznała jednak, że feralnego dnia usłyszała, że mąż wychodzi do kogoś przed dom. Zawołała: „Kto przyszedł?” i po chwili do środka wbiegł jakiś mężczyzna. Przeraził ją swoim wyglądem, bo był cały obryzany krwią, a w ręce miał duży nóż. Zaatakował ją. Kiedy próbowała zasłaniać się rękami, on uderzył ją tym nożem, raniąc oba przedramiona. Upadła. Poderwała się jednak i uciekła do pokoju. Tam dopadł ją i przewrócił. Wbił jej nóż w plecy, a potem obrócił kobietę i wbił narzędzie ponownie

od przodu. Chyba chciał trafić w serce, ale potem okazało się, że na szczęście ostrze minęło ten narząd o kilka centymetrów, nie uszkadzając nawet osierdza.

Krystyna S. zeznała, że po tym ciosie zemdląca, a kiedy zaczęła dochodzić do siebie postanowiła udawać martwą w nadziei na to, że morderca da jej spokój. I tak się stało, bo poszedł do kuchni. Tam odkręcił wodę i zaczął myć ręce. Po chwili wyrzwał przez drzwi na zewnątrz, sprawdzając chyba, czy Rafał S. nie żyje. Następnie wrócił do domu i zajrzał do pokoju. Uznawszy, że kobieta nie żyje zawrócił i wyszedł z budynku. Krystyna S. po chwili z trudem dowlokła się do miejsca, w którym leżała jej komórka i zadzwoniła na alarmowy numer 112. Zdołała podać adres i poprosić o karetkę, nim zaczęła tracić przytomność. Jak przez mgłę słyszała jeszcze, że połączenie nie zostało przerwane i ktoś przez telefon mówi do niej. Chciała podnieść się i zobaczyć, co z mężem, ale

straciła przytomność i odzyskała ją

dopiero w szpitalu, jak się okazało po długiej operacji.

Miała dużo szczęścia, bo ciosy nożem uszkodziły przede wszystkim mięśnie, płuca i przeponę. Nóż nie trafił w żaden ważny narząd, czy duże naczynie krwionośne. Po tygodniu od zdarzenia Krystynę S. wypisano ze szpitala, gdzie przez cały czas pilnowali jej policjanci. Wspólnie podjęto decyzję, że na jakiś czas przeniesie się do ciotki w innym mieście. Przed wyjazdem policyjny rysownik, po długiej sesji, sporządził portret pamięciowy sprawcy, ale Krystyna S. twierdziła, że nie jest on zbyt udany. Nie potrafiła jednak lepiej opisać napastnika.

Dłubanie

Niestety wszelkie działania policjantów w najbliższej okolicy nie przyniosły efektów. Najlepsze określenie sytuacji to, nikt niczego nie widział i nie słyszał. Kilkogodzinne oględziny miejsca zdarzenia, oprócz zabezpieczenia krwawego odcisku podeszwy buta, nic nie dały. Nawet szczegółowe badania klamek i krańca nad zlewem,

gdzie sprawca mył ręce, zawiodły nadzieje. Ślady linii papilarnych z trudem zabezpieczone z tych miejsc nie nadawały się do identyfikacji. Ich odwzorowanie utrudniała wszechobecna krew.

Po miesiącu od zdarzenia policjanci doszli do wniosku, że nie zaszkodzi sprawie, jeśli ponownie przyjrzą się wnętrzem domu, w którym dokonano zbrodniczego napadu. Zwłaszcza, że przez ten czas nikt w nim nie mieszkał i nie sprzątano go. Krystyna S. planowała powrót dopiero za tydzień lub dwa.

Podczas tych ponownych oględzin, jeden z policjantów sprawdzających pomieszczenia na poddaszu, zauważył, że ze sporej odległości, z kępy drzew i krzaków, ktoś przez lornetkę obserwuje budynek. Z tej odległości policjant nie widział niczego dokładnie, ale powtarzające się refleksy światła w szklach lornetki zaintrygowały go. Porozumiał się z kolegami na dole i jeden z nich samochodem ruszył ulicą w kierunku kępy drzew. Obaj policjanci, zarówno pozostający na poddaszu, jak i ten z auta dokładnie widzieli, że z kępy drzew ktoś wyjechał na rowerze i wąskimi ścieżkami pomiędzy zabudowaniami bardzo szybko odjechał. Niestety samochodem nie dało się wjechać w te miejsca i pościg okazał się nieskuteczny. Podobnie jak późniejsze prawie godzinne krążenie po ulicach kilku patroli w poszukiwaniu tego człowieka.

Policjantów bardzo zaniepokoiło to zdarzenie. Doszli do wniosku, że tą osobą mógł być sprawca zbrodniczego ataku, który dowiedział się, że jedna z jego ofiar żyje i obserwował dom planując ponowną napaść. Niestety, miejscowe media szeroko rozpisywały się o tym zdarzeniu i wypłynięcia informacji, że Krystyna S. żyje, nie sposób było ukryć.

Skontaktowano się z nadal przebywającą u ciotki kobietą.



Na prośbę policjantów zmieniła miejsce pobytu i odłożyła planowany powrót do domu.

Tymczasem komenda policji w G. pracowała na pełnych obrotach. Dowożono i przesłuchiowano kolejnych „kolegów” Rafała S., działając trochę na chybił-trafił, ale lepszego pomysłu nikt na to śledztwo nie miał. A osoby ze świata przestępczego zawsze warto popytać o to, co robiły w danym dniu.

Przesłuchania nie wniosły jednak nic nowego. Potwierdzono jedynie, że ostatnio Rafał S. trochę się uspokoił. Próbował swoich sił w „prawie legalnych” interesach. Udzielał lichwiarskich pożyczek pod zastaw mieszkań i firm, a także ścigał długi. Te ostatnie informacje policjanci odnotowali z uwagą, upatrując w nich ewentualnego kierunku poszukiwania osoby, która mogła mieć motyw, aby zabić Rafała S. Może jakiś przyciśnięty za mocno do muru dłużnik lub desperat oszukany lichwiarskimi konsekwencjami pożyczki? Takie przypadki przecież nie należały do rzadkości.

Wizyta

Do komendy policji w G., w południe, 14 kwietnia 2017 roku przyszedł Konstanty L., 70-letni emerytowany marynarz z G. Zgłosił dyżurnemu, że chce rozmawiać z kimś, kto zajmuje się sprawą zabójstwa Rafała S. Prowadzących tę sprawę nie było akurat w komendzie i dyżurny kazał mu przyjść następnego dnia. Odnotował jednak jego wizytę i przez chwilę zastanawiał się, czy nie skierować go do jakiegoś dyżurującego policjanta. Było jednak sporo zdarzeń, więc dał sobie spokój, a starszy pan nie naciskał i poszedł.

Gdyby stało się inaczej, śledczy zaoszczędziliby sobie kilku tygodni wytężonej pracy. Tymczasem w kwietniu postanowili dotrzeć do osób, którym Rafał S. udzielał pożyczek lub ściągał od nich długi. Zwrócili



się w tej sprawie do żony zmarłego, Krystyny S., która stwierdziła, że pomoże im pod warunkiem, że będzie mogła w końcu wrócić do swojego domu, gdzie zapewnią jej ochronę. Kobieta miała już dość ukrywania się i przy okazji wytknęła policjantom, że powinni od razu ją poprosić zamiast „buszować po domu pod jej nieobecność”. Uważała, że funkcjonariusze pojawili się w jej domu nie po to, aby szukać dodatkowych śladów, ale, aby znaleźć dokumenty i komputer jej męża. Bardziej miało im zależeć na informacjach o jego działalności niż na wykryciu sprawcy zabójstwa.

Policjanci pominieli te zarzuty milczeniem. Zorganizowali Krystynie S. bezpieczny powrót do domu i zapewnili jej ochronę. W zamian kobieta przekazała im informacje o osobach, którym Rafał S. udzielał pożyczek i od których ściągał długi. Okazało się, że wszystkie interesujące policjantów informacje ukrywał na komputerze żony. Miał tam swój dysk o nazwie „Fashions od Beatki” i pewnie liczył na to, że żaden policjant nie będzie szukał informacji w plikach zarejestrowanych pod taką nazwą i na dokładkę zapisanych na komputerze żony.

Dzięki zdobytym informacjom policjanci wytypowali kilkanaście osób, które zaczęły

opracowywać operacyjnie i sukcesywnie przesłuchiwać. Oprócz kolejnych doniesień potwierdzających, że Rafał S. zajmował się lichwiarskimi pożyczkami i nielegalnym ściąganiem długów, na nic interesującego przez dłuższy czas nie natrafiono. Również w rejonie domu Krystyny S. nie pojawił się tajemniczy mężczyzna. Budynek i okolicę policjanci dyskretnie obstawili kamerami, ale odczytywanie ich zapisów nic nie dało.

Sumienie

Po raz kolejny do Komendy Miejskiej Policji w G. Konstanty L. przyszedł 22 maja 2017 roku i tym razem nie tylko nie dał się odesłać na inny dzień, ale poczekał ponad godzinę na przybycie policjanta prowadzącego sprawę zabójstwa Rafała S. W pierwszych chwilach śledczy widząc, że ma do czynienia z trochę zaniedbanym starszkiem, zaczął rozmawiać z nim w przedsionku komendy. Jednak, kiedy usłyszał, z jakimi rewelacjami ten starszek przyszedł, szybko zaprosił go do swojego pokoju i zaczął procesowe przesłuchanie.

Początkowo z trudem i namysłem, a potem coraz śmieiej Konstanty L. opowiedział, co wie na temat śmierci

Rafała S. Wyglądało to dokładnie tak, jak wyrzucanie z siebie długo skrywanej tajemnicy. Staruszek powiedział, że jego zdaniem, tego zabójstwa dokonał 36-letni Patryk P., który jest czynnym narkomanem, ale także przestępcą napadającym na różne osoby na ulicy, a nawet w mieszkaniach. Stwierdził, że zna go od wielu lat, bo Patryk P. jest synem jego nieżyjącego już kolegi, z którym razem pływał na statkach handlowych.

Stary marynarz na początku przesłuchania wyznał, że czuje się winny tego, że Patryk P. dokonał zabójstwa, bo najprawdopodobniej on, Konstanty L., podsunął mu myśl, żeby to zrobić. Chodził z tymi wyrzutami sumienia już długo i w końcu uznał, że musi to komuś opowiedzieć, bo nie może spać z powodu poczucia winy. Podkreślał wielokrotnie, że nie chciał, żeby ktokolwiek został zabity. Ot tak gadał, że złości.

Wyznał policjantowi, że wszystko zaczęło się od tego, że Rafał S. udzielił lichwiarskiej pożyczki znajomej Konstancji L., a potem przejął jej mieszkanie i je sprzedał, a kobietę wyrzucił do jakiegoś baraku na przedmieściach. Kobieta z komfortowych warunków wylądowała w klitce bez łazienki ze wspólną toaletą w korytarzu i na dokładkę pomiędzy ludźmi, którzy okradli ją ze wszystkiego, co było cenne, a potem zaczęli w nocy wchodzić do jej mieszkania i wymuszać pieniądze na wódkę. Zmarła na wylew w dwa miesiące po tej przeprowadzce.

Konstanty był na jej pogrzebie i potem przez wiele tygodni przeżywał tę tragedię, nie mógł się uspokoić. Rozmawiał z wieloma osobami na ten temat, a najczęściej z Patrykiem P., który często go odwiedza, bo trochę się nim opiekuje. Robi mu drobne naprawy w domu, czy przynosi cięższe zakupy. Konstancja L. nie ma rodziny, a Patryk P. jest jej namiastką. Dostaje też czasem, niewielkie kwoty pieniędzy, przyznał marynarz.

W trakcie rozmów o Rafale S. wielokrotnie zdarzało się, że Konstanty L. mówił o tym, że gdyby był młodszy i nie bał się kary boskiej, to ukręciłby łeb lichwiarzowi, bo taki ktoś nie zasługuje na to, aby żyć. Mówił o tym wielokrotnie, bo dramatyczne okoliczności śmierci znajomej nie dawały mu spokoju. Patryk P. słuchał tych jego pełnych złości wypowiedzi i potakiwał mówiąc, że zgadza się z nim. Choć czasami wyglądało na to, że ma już dość rozmów na ten temat. Aż pewnego dnia przyszedł i powiedział: „Już nie mówmy o tym Rafale, bo bydle nie żyje”, a kiedy Konstanty dopytywał się skąd to wie, ten odpowiedział z wielką złością: „Nie chcę o tym więcej rozmawiać. Rozumiesz? Nigdy już o tym nie mów”. I tak też się stało.

Konstanty L. o okolicznościach śmierci Rafała S. dowiedział się z prasy i zaczął przeżywać tę sytuację jeszcze mocniej, bo podejrzewał, że zabójstwa

dokonał Patryk P. Kiedy policjant zapytał go, dlaczego tak myślał, stwierdził: że „Patryk zawsze miał pociąg do noży. Tak jak jego ojciec. Tamten też, nawet na statku, ćwiczył rzucanie nożem i skupował jakieś dziwne okazy w portach. Patryk nigdy nie rozstaje się z dużym sprężynowcem, który ma perfekcyjnie wyostrzony. Jak tylko przeczytałem, że ktoś ciął Rafała S. w szycie to wiedziałem, że to Patryk. Pewnie nie przyszedłbym z tym do was, ale stoję już nad grobem i mnie sumienie gryzie. Boję się też, że Patryk może zabijać dalej, jak go się nie zamknie. On bierze coraz więcej narkotyków a po nich mu odbija”.

Policjant zapisał zeznania i uprzedził Konstancję L., aby nikomu, a zwłaszcza



Patrykowi P. nie mówił o wizycie w komendzie.

Bo tak

Policjanci mieli w swoich zbiorach fotografię Patryka P., ale kiedy porównali ją z portretem pamięciowym sporządzonym według zeznań Krystyny S., okazało się, że on zupełnie do tego portretu nie pasuje. Postanowili jednak okazać zdjęcie kobiecie.

Zrobili z tego czynność procesową, czyli fotografia Patryka P. znajdowała się wśród kilku innych. Ku ich zdziwieniu Krystyna S. bez chwili wahania wskazała jego, jako sprawcę zabójstwa męża i napaści na nią. Jej emocje były tak silne, że zaczęła cała drżeć i omal nie zemdląca.

Już następnego dnia udało się zatrzymać podejrzanego mężczyznę, gdy wychodził z kamienicy, w której mieszkał. Policjanci z zeznań Konstantego L. wiedzieli, że może być niebezpieczny i mieć przy sobie nóż. Pomimo to zrezygnowali z zatrzymania go przez grupę realizacyjną. Zamiast tego, po cywilnemu zaczęli się przy wejściu do jego kamienicy i liczyli na efekt zaskoczenia. Zmieniając się czekali 5 i pół godziny, ale osiągnęli sukces. Nim zaskoczony Patryk P. mógł cokolwiek zrobić, już leżał na chodniku skuty kajdankami, a jego nóż był w rękach policjantów. Oprócz dużego noża o 23-centymetrowym, ostrzu miał jeszcze drugi mniejszy oraz gaz obezwładniający. Ale to na tym dużym sprzętnowcu, po zdjęciu okładek, policyjni biegli znaleźli ślady krwi zidentyfikowanej, jako krew Rafała S. Podczas przeszukania mieszkania odnaleziono też but, który zidentyfikowano, jako ten, którego krwawy ślad zabezpieczono na miejscu zbrodni. Sprawa w ten sposób stała się bardzo mocna dowodowo.

Patryk P. został tymczasowo aresztowany, choć cały czas



prawie do końca procesu, albo odmawiał składania zeznań, albo kazał tylko zaprotokołować stwierdzenie: „Jestem niewinny i nikogo nie zabiłem”.

Po którejś z kolei analizie akt prokurator prowadząca postępowanie doszła do wniosku, że należy przedstawić zarzut podżegania do zabójstwa Konstantemu L. I takie polecenie otrzymali policjanci. Mieli zatrzymać emerytowanego marynarza i dowieźć do prokuratury. Nie zastali go w domu, a sąsiedzi stwierdzili, że od kilku dni go nie widzieli i nie wiedzą, gdzie jest.

Dopiero po 12 dniach policjanci ponaglani przez prokuraturę ustalili miejsce pobytu starszego pana. Przy okazji doszło do napięć na linii prokuratura-komenda, bo zarzucono policjantom opieszałość. Prokuratura uważała, że policjanci, delikatnie mówiąc, nie byli zwolennikami przedstawiania zarzutów osobie, dzięki której udało się trafić na trop sprawcy i rozwikłać tę sprawę. Uczciwie przyznawali, że Patryk P. nigdy nie znalazł się w kręgu podejrzanych i nikomu nie przyszłoby do głowy wiązać go z tą sprawą. Między nim a Rafałem S. nie było żadnych, nawet najmniejszych powiązań. Jediną nicią łączącą tych dwóch mężczyzn był Konstanty L., a i ten

nigdy nie widział Rafała S., jedynie o nim słyszał.

Tylko dzięki wyrzutom sumienia starszego człowieka ustalono sprawcę, a teraz miał mieć za to postawione zarzuty? Przecież nie przewidywał, że tak skończy się jego narzekanie na niegodziwość tego świata. Policjanci musieli jednak podporządkować się poleceniom prokuratury i zintensyfikowali działania. Konstantego L. znaleźli na oddziale kardiologicznym Szpitala Wojewódzkiego w G., w krytycznym stanie, podpiętego do aparatury. Odstąpili więc tymczasowo od czynności. Po dwóch dniach emerytowany marynarz został przesłuchany oraz przedstawiono mu zarzut podżegania do zabójstwa. Jego stan znacznie się pogorszył i po wizycie policjantów przewieziono go na OIOM.

Prokuratura po zapoznaniu się z jego kolejnymi zeznaniami, w których najbardziej przewijał się żal i wstyd, że taki dramatyczny skutek miały jego narzekania, odstąpiła od obciążenia go aktem oskarżenia. Nim to nastąpiło Konstanty L. jeszcze miesiąc spędził w szpitalu i przeszedł poważną operację.

Patryk P. został skazany na karę 25 lat pozbawienia wolności za zabójstwo Rafała S. i usiłowanie zabójstwa jego żony. Nie odwoływał się od tego wyroku. A w swoim zaskakującym oświadczeniu na koniec procesu stwierdził, że więzienie to... miejsce akurat dla niego i że to dobrze, że spędzi tam tyle lat. Zaskoczył tym wszystkich, a sędzia zaczął się pewnie zastanawiać, czy nie było błędem niepoddanie tego oskarżonego wnikliwszej obserwacji psychiatrycznej. Ale skoro w trakcie procesu nic nie wskazywało na chorobę psychiczną, to nie było też podstaw, aby to zrobić. ■

Dariusz Gizak

Inicjały osób oraz niektóre okoliczności zdarzeń zostały zmienione.

Mroczna strona policjanta

Anna FREJ

Stał i patrzył, jak się dusi. Zwisający z sufitu mężczyzna miotał się, walcząc o każdy oddech. Zaciskająca się na jego szyi pętla nie ustępowała. W końcu człowiek wydał ostatnie tchnienie. Wtedy przyglądający się wszystkiemu z boku obserwator zdjął ciało z haka, upewnił się, że nie ma pulsu i przystąpił do działania. Wyjął nóż i piłę łańcuchową i po chwili zaczął ćwiartować zwłoki...



W internecie możemy znaleźć wszystko. Jest źródłem wiedzy, informacji, nowych przyjaźni. Ma też swoją mroczną stronę, związaną z mocą i wykorzystywaniem ludzi. I to właśnie kolejna odsłona tego oblicza globalnej sieci wstrząsnęła pod koniec 2013 roku niemiecką opinią publiczną. Internet umożliwił pewnemu policjantowi z 30-letnim stażem popełnienie przestępstwa, które mrozi krew w żyłach.

Wśród wielu pożytecznych serwisów, w globalnej sieci znajdziemy również takie, które skupiają osoby o dziwnych upodobaniach, dewiantów i zbrodniarzy. Jednym z takich była strona skierowana do osób o skłonnościach do kanibalizmu, reklamująca się jako „Numer 1 w internecie dla miłośników egzotycznego mięsa”. W 2013 roku zawędrował na nią 59-letni Polak, Roman D. Wybrał sobie nick „LongpigHeszla”.

Roman D. od 20 lat mieszkał w Hanowerze, stolicy Dolnej Saksonii. Ten pochodzący z Warszawy mężczyzna, ukończył studia na Uniwersytecie Gdańskim. W pewnym momencie swojego życia uznał, że chce wyprowadzić się z Polski i na nowe miejsce zamieszkania wybrał zachodniego sąsiada naszego kraju. W Hanowerze, wraz ze swoim współnikiem, prowadził firmę transportową. Na co dzień był spokojnym, niczym nie wyróżniającym się mężczyzną. Nikt nie przypuszczał, że może mieć jakąś ciemną stronę. Ujawniono ją dopiero jesienią 2013 roku, gdy Romana nie było już w świecie żywych.

Makabryczne fantazje

11 listopada, zaniepokojony długą, niezapowiedzianą nieobecnością Polaka i brakiem kontaktu, jego współnik postanowił zgłosić sprawę zniknięcia mężczyzny policji. Funkcjonariusze przyjęli

zawiadomienie i natychmiast przystąpili do zwyczajowych w takich przypadkach czynności, zwłaszcza, że w międzyczasie zgłosiła się do nich również narzeczona Romana, Tatiana, która także poinformowała, że nie widziała mężczyzny już od tygodnia.

Policjanci rozpytywali znajomych Romana D. i wszystkie osoby, z którymi mógł mieć kontakt. Przejrzeli także jego telefon oraz komputer, prześledzili aktywność internetową Polaka. Dzięki temu trafili na stronę internetową dla kanibali. Wraz z kolejnymi zdobywanymi informacjami, śledczym wyłaniał się coraz bardziej ponury obraz poszukiwanego Polaka. Mężczyzna marzył o tym, by ktoś go zamordował i zjadł i od co najmniej 6 lat przeszukiwał zakamarki internetu, wchodził na strony poświęcone torturowaniu i mordowaniu, poszukując osoby gotowej spełnić jego „fantazję”. Na jednej z nich, o nazwie *Zambian Meat*, zaczął używać nicku „Butcher755”, wypytując go o urzędnika, którego posiada w domu. W listopadzie 2012 roku Roman D. pisał: „Czy mógłbyś opisać swój pokój tortur i urzędnika, jakie w nim posiadasz? Sprawdzałeś ich wytrzymałość? Myślisz, że liny utrzymają człowieka o mojej wadze?”. Jak się później okazało, „Butcher755” nie był skłonny zrealizować zamierzeń Polaka, ale ten się nie poddawał i szukał dalej. 2 października 2013 roku, 59-latek trafił w sieci na Hermana O., posługującego się nickiem „Caligula31”. 55-latek mieszkał w okolicach Drezna. W przeszłości był żonaty, miał trójkę dorosłych dzieci. Po rozwodzie związał się z mężczyzną, z którym prowadził mały pensjonat w miejscowości Hartmannsdorf-Reichenau w paśmie górskim Rudawy, rozciągającym się na terenie południowo-wschodnich Niemiec oraz północnych Czech. Polak i Niemiec korespondowali przez ponad miesiąc, wymieniając

w tym czasie około 400 wiadomości za pomocą internetowego forum i prawie 100 maili. Zebrane dowody jednoznacznie świadczyły o tym, że to właśnie Herman O. jako ostatni widział Polaka żywego. Mężczyźni umówili się na spotkanie na 4 listopada 2013 roku. Tego dnia o Romanie D. słuch zaginął.

Szczątki zakopane w ogrodzie

Do przełomu w dochodzeniu doszło 28 listopada 2013 roku. Tego dnia w ręce policji trafił podejrzany w sprawie zniknięcia polskiego biznesmena, Herman O. W trakcie śledztwa okazało się, że nie jest on zwykłym obywatelem. Od 30 lat pracował w saksońskiej policji, jako ekspert ds. grafologii. Do zatrzymania doszło w godzinach pracy Hermana, w drezdeńskiej komendzie.

Mężczyzna potwierdził policji, że rzeczywiście spotkał się z Polakiem:

– *Przez kilka tygodni kontaktowaliśmy się ze sobą przez internet. Wymieniliśmy wiele wiadomości. Kilkanaście razy rozmawialiśmy też przez telefon – mówił O. po zatrzymaniu.*

– *Jak doszło do spotkania? – dociekał śledczy.*

– *Roman nalegał na spotkanie na żywo. Umówiliśmy się na 4 listopada. Spotkaliśmy się po raz pierwszy na dworcu w Dreźnie. Przyjechał pociągiem z Hanoweru. Odebrałem go i razem pojechaliśmy do mojego pensjonatu w Rudawach.*

– *Dlaczego akurat tam?*

– *Piwnica tego budynku to szczególne pomieszczenie – tłumaczył Herman. – To coś w rodzaju sali tortur. To ono było naszym celem.*

– *Co było potem?*

– *Roman miał jedno marzenie... fantazję. Chciał, żeby ktoś go zabił i zjadł jego ciało. Zgodziłem się mu pomóc, to dlatego się spotkaliśmy. Mieliśmy podobne „upodobania”.*



- Spełniłeś jego prośbę? Zabijeś go?

- Poderżnąłem mu gardło... Potem pociąłem jego ciało na części, zajęło mi to około pięciu godzin. Wszystko nagrałem.

To była pierwsza wersja wydarzeń przedstawiona przez Hermana O. Pierwsza, bowiem po jakimś czasie zmienił zdanie, co do tego, kto pozbawił życia Romana D. Zanim to się jednak stało, podejrzany, na prośbę policji, pokazał śledczym miejsce ukrycia zwłok. Herman nie zastanawiał się długo nad tym, gdzie umieści szczątki Polaka. Nie zadał sobie trudu, by wymyślić ciężką do zlokalizowania kryjówkę, po prostu zakopał kawałki ciała w przydomowym ogrodzie, wśród grządek z kwiatami. Śledczym udało się wydobyć prawie wszystkie części zwłok. Prawie, ponieważ nigdy nie odnaleziono genitaliów Polaka. Stąd pojawiły się przypuszczenia, że Herman O. mógł, zgodnie z życzeniem zamordowanego, dopuścić się kanibalizmu. Jednak nigdy nie potwierdzono w stu procentach,

że podejrzany spożył ludzkie ciało.

- Ofiara już od młodości fantazjowała o tym, by zostać zamordowanym i zjedzonym. Sprawa ta pokazuje, że dzięki internetowi trafić na siebie mogą osoby o przeróżnych dewiacjach, nierzadko jeszcze gorszych od tych, z którymi mamy teraz do czynienia - powiedział na konferencji prasowej Deiter Kroll, szef drezdeńskiej policji.

Wyjaśnienia złożone przez Hermana O. wywołały ogromny szok u narzeczonej Romana D. Wiele wskazywało na to, że Polak dobrowolnie udał się z Niemcem do jego górskiego pensjonatu, ale kobieta twierdziła, że to niemożliwe. Jej zdaniem Roman został porwany, torturowany i brutalnie zamordowany przez Hermana O. Twierdziła, że to nieprawda, że mężczyzna miał upiorne fantazje o śmierci:

- Roman nie miał takich zapędów. Z pewnością nie chciał, by ktoś go zabił, a co dopiero zjadł jego ciało. To niemożliwe. Był zupełnie normalnym człowiekiem. Planowaliśmy się

pobrać. Nie mogę uwierzyć w ten koszmarny - mówiła Tatiana.

Druga wersja wydarzeń

Tymczasem podejrzany o zabójstwo Romana D., Herman O. zmienił wyjaśnienia dotyczące tego, co wydarzyło się w 4 listopada 2013 roku w piwnicy jego pensjonatu. Odwołał swoje wcześniejsze słowa, mówiące o tym, że poderżnął Polakowi gardło i zaczął twierdzić, że Roman D. popełnił samobójstwo przez powieszenie. Śledczy mieli problem z tym wyznaniem. Wydobyte z ziemi szczątki ciała ofiary poddano sekcji zwłok, były jednak w tak złym stanie, że biegli specjaliści nie mogli podać dokładnej przyczyny śmierci Polaka. Nie było wiadomo zatem, która wersja wydarzeń przedstawiona przez Niemca jest prawdziwa.

Nie przeszkodziło to jednak w przedstawieniu mu następujących zarzutów: zabójstwa Romana D. przez uduszenie oraz zakłócenia spokoju zmarłego w związku z poćwiartowaniem jego zwłok. Niemiecki kodeks karny rozróżnia zabójstwo od morderstwa. Morderstwo traktowane jest jako cięższe przestępstwo i jest zagrożone karą dożywotniego pozbawienia wolności. Aby sprawa została potraktowana, jako morderstwo muszą wystąpić konkretne przesłanki ustanowione przez ustawodawcę. Morderstwa dopuszcza się osoba, która pozbawia życia innego człowieka z żądzy zabijania, w celu zaspokojenia popędu płciowego, z chciwości lub innych niskich pobudek; w sposób podstępny, okrutny lub przy użyciu powszechnie niebezpiecznych środków; w celu umożliwienia innego przestępstwa albo w celu jego ukrycia. Z kolei zabójstwo jest traktowane, jako przestępstwo mniejszego kalibru. Zabójcą jest ten, który nie wypełnia znamion mordercy. Grozi mu kara od 5 do 15 lat pozbawienia wolności, przy czym ustawodawca

zostawił furtkę – w szczególności ciężkich przypadkach zabójstw, sąd może orzec karę dożywocia.

Nie było tak w sprawie Hermana O. Groziło mu maksymalnie 15 lat więzienia, przy czym prokuratura domagała się dla niego 10,5 roku pozbawienia wolności. Z kolei pełnomocnik rodziny wnosił w jej imieniu o orzeczenie maksymalnego wymiaru kary, czyli 15 lat więzienia.

Mógł się uratować?

W trzecim tygodniu sierpnia 2014 roku, przed sądem w Dreźnie rozpoczął się proces 56-letniego wówczas Hermana O. Sprawę prowadziła sędzina Birgit Weigand. Zaplanowano

15 posiedzeń, w trakcie których przesłuchanych miało być 20 świadków.

Oskarżony wszedł na salę sądową z uśmiechem na ustach. Na sobie miał szare spodnie i bluzę z kapturem – donosiła śledząca proces amerykańska agencja prasowa AFP.

– *Herman O. pozbawił życia Romana D. i rozczłonkował jego ciało, aby osiągnąć pobudzenie seksualne. Spełnienia seksualnego doznał również później, oglądając nagranie z zabójstwa* – mówił przed sądem prokurator Andreas Feron.

Obrońca 56-latką, Endrik Wilhelm, od początku zaprzeczał temu, że jego klient dopuścił się zabójstwa.

– *Zmarły Roman D. popełnił samobójstwo. Od dawna chciał*

odebrać sobie życie. Mój klient nie ma z tym nic wspólnego – mówił przed sądem Wilhelm. – Patolodzy podają, że przyczyną zgonu było niedotlenienie. Ja muszę dodać, że to niedotlenienie Roman D. spowodował sam, on się powiesił.

Sam oskarżony zaprzeczył, jakoby miał się dopuścić zabójstwa i zapowiedział Birgit Weigand, że nie zamierza podczas procesu odnosić się do materii sprawy. Opowiedział za to, dość kwiecicie, swój życiorys. Mówił, że wychowywał się w komunistycznej części Niemiec. Prawił o tym, że dorastał w pięknym domu, rodzice trzymali go pod kloszem, ale jednocześnie był bardzo rozpieszczany przez wszystkich członków rodziny. Przez 10 ostatnich lat był w związku małżeńskim z mężczyzną, ale tuż przed rozpoczęciem procesu o zabójstwo Romana D. para się rozwiódła. Herman dodał, że ma dwójkę dorosłych dzieci z poprzedniego związku, adoptował również córkę swojego byłego już partnera, która mieszka w Irlandii. Zapewnił, że ma bardzo dobry kontakt z całą trójką:

– *Nasza więź jest silna. Dzieci odwiedzają mnie w więzieniu* – mówił.

W trakcie śledztwa policja weszła w posiadanie 50-minutowego nagrania przedstawiającego proces umierania i rozczłonkowania ciała Romana D. Było jednym z dowodów, więc przedstawiono je w sądzie, za zamkniętymi drzwiami. Na nagraniu widać zwisającego z sufitu, duszącego się Romana D. Jego usta są zaklejone taśmą, a dłonie związane z tyłu, ale nogi ma ugięte. Po jego śmierci, ubrany jedynie w bieliznę, Herman O. rozpoczyna rozcinanie ciała zmarłego. Robi to za pomocą piły łańcuchowej i noża. W tle słychać muzykę pop. W pewnym momencie, umazany krwią Herman O. mówi:

– *Nigdy nie sądziłem, że upadnę tak nisko.*

Czy wiesz, że...

To nie pierwsza taka sprawa w Niemczech, niosąca znamiona kanibalizmu. W grudniu 2002 roku tamtejsza policja zatrzymała informatyka Armina Meiwesa, pod zarzutem zamordowania i zjedzenia Berndta Jürgena Armando Brandesa. Meiwes od 1999 roku poszukiwał w internecie mężczyzny, którego mógłby zabić i zjeść jego ciało. W lutym 2001 roku na jedno z ogłoszeń odpowiedział 43-letni inżynier z Berlina, Bernd Brandes. Mężczyźni spotkali się niecały miesiąc później, 9 marca, w mieszkaniu Meiwesa. Informatyk najpierw odciął ofierze penisa, po czym przyrządził i obaj go zjedli. Potem zaniósł Brandesa do wanny z wodą, by mężczyzna się wykrwawił. On sam poszedł czytać książkę. Co jakiś czas zaglądał do łazienki, aby sprawdzić czy ofiara już nie żyje. W końcu chwycił za nóż i poderznął gardło inżyniera. Jego ciało powiesił na haku do mięsa i zaczął rozczłonkować zwłoki. Cały proces nagrał. Video trwa 4,5 godziny. Przez kolejne miesiące Meiwes spożywał ciało ofiary.

Do zatrzymania kanibala doszło dzięki pewnemu studentowi, który zaalarmował policję o zamieszczonym w internecie nowym ogłoszeniu, w którym ktoś poszukiwał potencjalnej ofiary. Funkcjonariusze zbadali ten trop i trafili na Meiwesa. Przeszukali jego mieszkanie. Znaleźli nagranie przedstawiające zbrodnie popełnione na Brandesie oraz resztki jego ciała.

30 grudnia 2004 roku informatyka skazano na 8,5 roku więzienia. W kwietniu 2005 roku zarządzono ponowne rozpatrzenie sprawy. Argumentowano, że mężczyzna powinien być skazany za morderstwo, ponieważ jego czyn wypełnia znamiona tego przestępstwa (zabił, by zaspokoić swoje seksualne żądze). W trakcie kolejnego procesu biegli psycholodzy stwierdzili, że Meiwes jest niebezpieczny dla społeczeństwa, ponieważ nadal fantazjuje o spożywaniu ludzkiego mięsa. W maju 2006 roku informatyka skazano na dożywotnie pozbawienie wolności.



Nagranie było wodą na młyn obrońcy. Endrik Wilhelm twierdził, że z filmu jasno wynika, iż Roman D. popełnił samobójstwo, a nie został zabity.

– To jasne, że w każdej chwili mógł to przerwać. Jego nogi były ugięte. Gdyby tylko je wyprostował, mógłby stanąć na podłodze i zakończyć proces duszenia. Nadal by żył. Jednak ewidentnie tego nie chciał – mówił adwokat.

U Hermana O. wyświetlenie tego filmu spowodowało wybuch płaczu.

Sprawa do ponownego rozpatrzenia

Tłumaczenia adwokata nie przekonały jednak Birgit Weigand. Sędzina uznała Hermana O. za winnego zarzucanych mu czynów, czyli zabójstwa oraz zakłócenia spokoju zmarłego.

– Twoje czyny były spowodowane chęcią zaspokojenia seksualnych żądz. Jednakże w pewnym stopniu muszę się zgodzić z prokuratorem. Trzeba wziąć pod uwagę, że wszystko wskazuje na to, iż Roman D. chciał zostać pozbawiony życia.

1 kwietnia 2015 roku Weigand skazała Hermana O. na 8 lat i 6 miesięcy pozbawienia wolności.

Zaledwie tydzień po ogłoszeniu wyroku pierwszej instancji Federalny Trybunał Sprawiedliwości skrytykował go i nakazał przeprowadzenie procesu od początku. Ogłaszając tę decyzję przewodniczący Trybunału, Gunther Sander, powiedział, że podczas pierwszego procesu w należyty sposób nie zbadano twierdzeń obrony o tym, że Roman D. popełnił samobójstwo. Nie przyjrano się również dokładnie linie, na

której z sufitu zwiisał zmarły Polak. Sąd uznał też, że orzeczona kara była zbyt niska. Sander powiedział potem mediom, że jego zdaniem ciężko przewidzieć wynik drugiego procesu:

– Nie jestem w stanie przewidzieć jak zakończy się kolejny proces. Herman O. może usłyszeć surowszą karę, ale równie dobrze może zostać uniewinniony.

Drugi proces ponownie odbywał się w Dreźnie. Rozpoczął się na początku listopada 2016 roku. Na wstępie sąd uznał, podobnie jak poprzedni skład, że w tej sprawie nie należy rozpatrywać maksymalnego wymiaru kary, czyli 15 lat pozbawienia wolności. Przyjęto za pewnik, że Roman D. chciał umrzeć.

Na jednym z posiedzeń zaprezentowano nowy dowód w sprawie – było to zdjęcie przedstawiające oskarżonego ubranego jedynie w skarpetki i sandały, trzymającego w rękach topór. Na drugim planie fotografii zrobionej w tej samej piwnicy, w której zginął Roman D. widać się ludzki szkielet. Obrona nadal jednak argumentowała, że Hermana O. należy uniewinnić od zarzucanych mu czynów. Głos zabrał też sam oskarżony. W końcu skomentował swoje działania, które doprowadziły go na ławę oskarżonych:

– Nie twierdzę, że jestem całkowicie niewinny. To był największy błąd mojego życia, ale nie jestem zabójcą – zwracał się do przewodniczącego składu sędziowskiego, tłumiąc szloch.

Sąd, kierując się tym, że na podstawie stanu zwłok oraz w związku z brakiem świadków mogących zeznawać na korzyść Hermana O. ciężko jest uwierzyć w stu procentach w argumentację obrony, uznał oskarżonego za winnego śmierci Romana D. W drugim procesie Niemca skazano na 8 lat i 7 miesięcy więzienia. ■

Anna Frej

Personalalia i drobne szczegóły zostały zmienione.

WYDANIE SPECJALNE

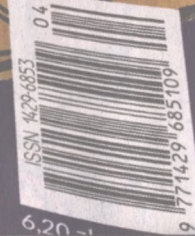
DETEKTYW

SŁABA PŁEĆ?

1971
ZIMA
4/20
4/21



INDEKS 34222x



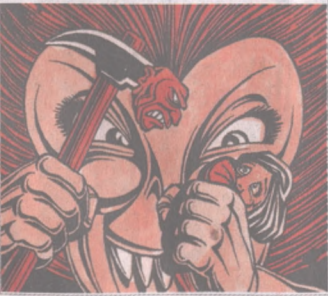
6,20

SPRAWDZIWE HISTORIE

GORSZA od alfonsa

Helena KOWALK

Zawładł ją do agencji towarzyszyńskiej w اردمینیو Warszawie, gdzie pracowała. Agenta B. myślała, że to już koniec. Inne wstrząs ją do głębi i w końcu mogła się przemyśleć. Kiedy dotarła do szafki, powie Zofia L., właścicielka agencji, że to koniec, odchodzi.



DETEKTYW WYDANIE SPECJALNE 4/20

BYĆ KOBIECĄ... w więzieniu

Anna RYCHLEWICZ

Wigilanie - przesłuchiwanie więźniów. Przynajmniej tak jest postrzegane. Kobiety - alfabety, której doświadczenia i subtelność nie porówna na czystym łożu. Kolejny ostateczny. Wyczerpanie dla kobiet - przesłuchanie, w którym decyduje się ich własne życie. Czy kobieta w rzeczywistości panuje nad swoim przemyśleniem? Jak to jest być kobietą, za kratami?



DETEKTYW WYDANIE SPECJALNE 4/20

SABINA

Dariusz GIZAK

Początkowo Sabina U. spaceruje twierdziła, że nie wie nic o zwłokach znalezionych w studiu. Dopiero podczas kolejnych przesłuchań przemyślała, że jej mistrzyni mogła spać do brody, kiedy od niej wychodził morderca. W jaki sposób, że czepko ostateczny przyrodzina do niej przynależny na brzoju tej studii, które były pracowni reżyserki.



DETEKTYW WYDANIE SPECJALNE 4/20

**JUŻ W SPRZEDAŻY!
KUP KONIECZNIE!**

Zabójcze duety

Anna RYCHLEWICZ

Panuje powszechne przekonanie, że morderca najczęściej działa w pojedynkę. Dopuszczenie współnika do udziału w zbrodni ma zwiększyć ryzyko wykrycia sprawców. Potwierdzeniem tezy mogą być także liczne analizy behawioralne, z których wynika, że seryjny zabójca zawsze działa sam. Historia polskiej i światowej kryminalistyki zdaje się jednak temu przeczyć.



Mordercze duety, zabójcze pary i krwawi partnerzy. Gwałcili, zabijali, torturowali. Wzajemnie się inspirowali i dopingowali. Połączyła ich fascynacja śmiercią, a podzielił dopiero wyrok sądu.

Bonnie Parker i Clyde Barrow

Historia najpopularniejszej pary kochanków sięga początku lat 30. XX wieku. Ich ucieczkami przed wymiarem sprawiedliwości żyła cała Ameryka. Bonnie Parker i Clyde Barrow z jednej strony budzili pogardę, z drugiej – mieli rzeszę fanów dopingujących nietypowy związek. Choć do dziś nie ma pewności co do tego, jak się poznali, żadnych wątpliwości nie pozostawia fakt, że stali się ikoną amerykańskiej popkultury. Początkowo trudnili się drobnymi przestępstwami i rabowaniem sklepów. Niedługo potem na liście ich występów zaczęły pojawiać się kolejne zbrodnie – o wiele poważniejsze. Poszukiwani byli już nie jako złodzieje, ale i mordercy. Każdy ich ruch był jednak dokładnie przemyślany i zaplanowany, dzięki czemu przez długi czas udało im się wymykać wymiarowi sprawiedliwości. Wpadli banalnie – na policję wpłynęło zawiadomienie, że w domu, który był ich kryjówką, jest nielegalnie wytwarzany bimber. Na miejscu stróż prawa nie znaleźli co prawda wytwórni samogonu, ale odnaleźli kryjówkę Bonnie i Clyde'a. Zakochani zdolali uciec, zostawiając na miejscu całą artylerię, narzędzia zbrodni czy dokumenty. Do zrealizowania został im już ostatni plan Clyde'a – napad na więzienie Eastham Prison Farm w Teksasie, w którym sam wcześniej odbywał karę. W styczniu 1934 roku spełnił swe marzenie – napadł na więzienie, uwolnił pięciu więźniów i zabił jednego strażnika. Kilka miesięcy później morderczy duet wpadł w pułapkę zastawioną przez policję – w stronę zakochanych

przestępców padło 50 strzałów. Oboje zginęli na miejscu.

Szczepan i Józefa Paśnikowie

Doskonale wiedziała, co jej mąż robi kobietom. Była naocznym świadkiem morderczego procederu, którego zwieńczeniem było pozbawienie ciał ofiar ubrań i sprzedanie ich na miejscowym bazarze. Szczepan i Józefa Paśnik to morderczy duet, którego okres „światłości” przypada na lata 20. minionego stulecia. Wówczas, w zaroślach w okolicach Pruszkowa, odnaleziono ciało młodej kobiety. Kilka dni później i kilka kilometrów dalej, na kolejne ciało natknął się przypadkowy przechodzień. Okazało się, że to matka zamordowanej kobiety. Obie panie łączyło coś jeszcze – zabójca. Szczepan Paśnik pozbył się najpierw swojej kochanki, a później jej matki. Do tego czasu działał sam, jednak niedługo potem wsparła go żona – Józefa. Z czasem sama wybierała przyszłe ofiary. Werbowała je wzbudzając sympatię i zaufanie. Przyprawiała do mordercy, patrzyła jak je gwałcił i pozbawiał życia. Po wszystkim ściągała z martwych ciał ubrania oceniając, które z nich nadają się do sprzedaży. Para wpadła na warszawskim dworcu, kiedy namierzała kolejną ofiarę. Swoje zbrodnie usiłovali tłumaczyć chorobą psychiczną. Bez skutku – w kwietniu 1922 roku małżeństwo zostało skazane na karę śmierci.

Lawrence Bittaker i Roy Norris

Poznali się w więzieniu California Men's Colony. Tam zaczęli dzielić się przerażającymi fantazjami dotyczącymi przemocy seksualnej wobec kobiet. Odkryli, że łączy ich nienawiść do płci przeciwnej, a podnieca patrzenie na przerażone twarze młodych dziewcząt. Z pozoru niewinne fantazjowanie przerodziło się w konkretny plan gwałcenia i mordowania.

Jeszcze za kratkami przysięgli sobie, że po wyjściu na wolność ich drogi połączą się, by zrealizować swoje pragnienia. Lawrence Bittaker i Roy Norris to amerykańscy seryjni mordercy, którzy porywali, gwałcili, a następnie brutalnie mordowali nastoletnie dziewczyny. Okrzyknięto ich mianem „Zabójców z narzędziami” – do popełniania zbrodni używali szpikulca do lodu, którym dźgali piersi młodych dziewcząt czy kombinerek służących do wyrwania sutków. Przez pewien czas zabierali autostopowiczki tylko po to, by poznać schemat postępowania nastolatek. Kiedy już poczuli się pewniej, porywali dziewczyny i gwałcili je. Do ich schwytania przystąpił sam Norris, który pochwalił się przyjacielowi swoimi dokonaniem. Kiedy Bittaker został skazany na karę śmierci, Norris w zamian za współpracę w śledztwie, usłyszał wyrok dożywotniego pozbawienia wolności z możliwością ubiegania się o warunkowe zwolnienie po odsiedzeniu 30 lat kary.

Helen Golay i Olga Rutterschidt

W lokalnym społeczeństwie znane były jako pomocne i towarzyskie babcie. Wyciągały pomocną dłoń do potrzebujących, oferowały mieszkania bezdomnym i roztaczały nad nimi swoją opiekę. Wszystko to podyktowane było jednak nie głosem serca, a przebiegłością i sprytem, którym towarzyszyła zakamuflowana brutalność. W 1997 roku, Helen Golay wynajęła mieszkanie, które oddała w opiekę bezdomnemu mężczyźnie. Jednocześnie zawarła na jego nazwisko kilka polis ubezpieczeniowych, w których jako osoby uposażone wskazywała siebie bądź swoją towarzyszkę – Olę Rutterschmidt. Dwa lata później ciało mężczyzny zostało znalezione w ciemnej uliczce Hollywood. Jego odnalezienie zgłosiły dwie 70-letnie kobiety – wspomniana wyżej Golay i Rutterschmidt. Sekcja ujawniła zmiażdżone

narządy wewnętrzne. Obrażenia powstały w wyniku potrącenia. Jak się potem okazało – celowego. Kilka lat później, w ludzko podobnych okolicznościach, odnaleziono ciało 50-letniego bezdomnego, Kennetha McDavida. Kilka dni po tragedii, na komendę poli-



cji zgłosiły się te same kobiety, podając się za bliską rodzinę ofiary. W trakcie dochodzenia wyszło na jaw, że mężczyzna posiadał 13 polis ubezpieczeniowych, w których jako osoby upoważnione widniały narzeczone, partnerki biznesowe czy kuzynki – w każdej z nich pojawiały się nazwiska „czarnych wdów”. Żadna z kobiet nie przyznała się jednak do winy. Obie zostały skazane na dożywotnie pozbawienie wolności.

Louis Eppolito i Stephen Caracappa

Pracowali dla Nowojorskiego Departamentu Policji (NYPD) jako detektywi, a określani byli mianem „gliniarzy mafii”. Louis Eppolito i Stephen Caracappa znani byli z dość niestandardowych metod, dzięki którym z sukcesem rozwiązywali swoje sprawy. Choć razem, jako detektywi NYPD, pracowali jedynie przez krótki czas, później ich drogi zeszły się na zupełnie innym gruncie. Swoje zbrodnie popełniali w latach 80. i na początku lat 90. XX wieku. Jeszcze podczas pełnienia obowiązków służbowych, pojawiały się głosy o ich udziale w przestępczości zorganizowanej. W 1984 roku Eppolito został oskarżony o przekazywanie policyjnych informacji mafijnej grupie, do której należeli członkowie jego rodziny. Ostatecznie został on osądzony wewnętrznie, w ramach NYPD, i oczyszczony z zarzutów. Dopiero lata później, jemu i jego kompanowi postawiono zarzut

zabójstwa co najmniej ośmiu osób. Wpadli, kiedy zastępca szefa mafii, w zamian za łagodniejszy wyrok, rozpoczął współpracę z policją. W 2006 roku Eppolito i Caracappę skazano na dożywocie za wymuszenia, handel narkotykami, nielegalny hazard, utrudnienia pracy wymiaru sprawiedliwości oraz morderstwa.

Kenneth Bianchi i Angelo Buono

Duet, który okrzyknięty został mianem „Dusicieli ze wzgórz”. W latach 1977-1979 porywali, torturowali i mordowali kolejne kobiety. Byli postrachem Los Angeles. Jeden miał obsesję na punkcie pięknej, drugi z kolei fascynował się służbami mundurowymi. Podawali się za policjantów, werbując w ten sposób przyszłe ofiary. Gdy te wsiadały do ich samochodu, mordercy wywozili kobiety do domu położonego na obrzeżach miasta, gdzie godzinami gwałcili je i torturowali. Stosowali wysublimowane metody znęcania się nad ofiarami – z przewodu lampy odizolowali dwa druciki, które mocowali do rąk dziewczyn. Następnie wkładali i wyjmowali wtyczkę z gniazdka, obserwując jak zachowuje się ludzkie ciało rażone prądem. Nagie zwłoki ofiar porzucali na wzgórzach Los Angeles. Pod koniec lat 70.



między morderczym duetem doszło do kłótni, w wyniku której Bianchi opuścił Los Angeles. Nie zrezygnował z krwawej działalności – lista jego ofiar powiększyła się o kolejne dwie pozycje. Aresztowany zaczął symulować chorobę psychiczną, przekonując mundurowych, że ma podwójną osobowość. Ponoć kobiety mordował jego alter ego o imieniu Steve. Kiedy symulacja nie przyniosła żadnych efektów, Bianchi postanowił iść na układ z policją. W zamian za łagodniejszy wyrok wyznał, że duet „Dusicieli ze Wzgórz” tworzył wraz ze swoim kuzynem – Angelo Buono.

Zuzanna M. i Kamil N.

Wyjątkowo brutalni, pozbawieni skrupułów, bez hamulców. Zabili, by zlikwidować problem. Morderstwami, których dokonali Zuzanna M. i Kamil N., pod koniec 2014 roku, żyła cała Polska. Miły, grzeczny i sympatyczny 18-latek mieszkał wraz z rodzicami w Rakowiskach, niedaleko Białej Podlaskiej. Znajomość z dziewczyną, której sprzeciwiali się rodzice, miała tragiczny finał. To właśnie ona nakłoniła go do „zlikwidowania problemu”. Zbrodnia była dokładnie przemyślana i zaplanowana. Data nie była przypadkowa – mieli zabić w dniu, w którym będą mieć alibi. Zaatakowali rodziców chłopaka podczas snu. Odliczyli do trzech i przystąpili do działania. Zadali im po kilkanaście ciosów nożem. Dźgali na oślep, trafiając w brzuch, tętnice i płuca. Kiedy ranny mężczyzna wytrącił dziewczynie nóż z ręki, ta ugryzła go, po czym chcąc zatrzeć ślady próbowała odciąć mu rękę. W tym czasie matce chłopaka udało się uciec z sypialni. Ten dogonił ją przed domem i wciągnął do środka. By zakończyć męczarnie rodzicielki, podciął jej gardło. Do zabójstwa przyznali się już podczas pierwszego przesłuchania. Oboje zostali skazani na 25 lat pozbawienia wolności.

Myra Hindley i Ian Brady

Duet określany mianem „Morderców z wrzosowisk”. Wykorzystywali seksualnie i zabijali małe dzieci oraz nastolatków – ich ofiarą padło co najmniej 5 osób w wieku od 10 do 17 lat. Ciała zakopywali wzdłuż Saddleworth Moor – wrzosowisk w północno-zachodniej Anglii. Poznali się, kiedy Myra była jeszcze spokojną, grzeczną i ułożoną dziewczyną z dobrego domu. Później okrzyknięta ją „najgorszą kobietą w Wielkiej Brytanii”. Z seksualnym psychopatą łączyła ją silna więź. Pierwszą ofiarą pary była sąsiadka Hindley. Kiedy dziewczyna była gwałcona i mordowana przez mężczyznę, Hindley patrzyła na wszystko przez okno samochodu. Brady poderżnął ofierze gardło, a potem wraz z Myrą zakopali zwłoki na terenie wrzosowisk. Na jeszcze świeżym grobie urządzili pornograficzną sesję zdjęciową. Drugą ofiarą Brytyjczyków był 12-letni chłopiec, którego zgwałcili i udusili sznurówką. Na wzór pierwszej zbrodni, na jego grobie zrobili sobie pamiątkowe zdjęcie. Później wszystkie fotografie posłużyły jako dowody zbrodni. Przypięcętowaniem morderczej działalności było zabójstwo 17-letniego chłopaka, do którego zaangażowali szwagra Hindley. Dzień po zbrodni, miotany wyrzutami sumienia, wyznał wszystko policji. 6 maja 1966 roku para została skazana na dożywotnie pozbawienie wolności. Określono ich „sadyistycznymi mordercami o najwyższym stopniu zdeprawowania”.

Ottis Tool i Henry Lee Lucas

Poznali się w 1976 roku. Połączyła ich nie tylko fascynacja seksem i mordowaniem, ale także uczucie. Ottis Tool i Henry Lee Lucas zostali kochankami żyjącymi w przekonaniu, że są dla siebie

stworzeni. Z czasem jednak zaspokajanie potrzeb we własnym gronie przestało im wystarczać, więc ruszyli na polowanie. Ofiary porywali, gwałcili i torturowali. Po wszystkim kończyli dzieła – zabijając je. Uprawiali nekrofilie, zwłoki ćwiartowali i palili, a niekiedy zjadali. Para krążyła po całym kraju, odwiedzając w czasie krwawej podróży 26 stanów. Często ich celem były prostytutki i autostopowiczki. Nie gardzili także mężczyznami i nie oszczędzali dzieci. Ponoć Lucas specjalizował się w kobietach, natomiast domeną Toola było zabijanie mężczyzn. Jedną z najgłośniejszych zbrodni, której dopuścił się Tool było zabójstwo 6-letniego chłopca, którego cukierkami zwiabił do swojego samochodu. Morderca pobił chłopca i zgwałcił go, po czym poćwiartował jego ciało i odciął głowę. Przez kilka dni woził ją ze sobą w bagażniku. Pozostając nadal w homoseksualnym związku, Toole związał się ze swoją 12-letnią siostrzenicą, która towarzyszyła mu we włóczędźce po Stanach Zjednoczonych. Pozostawiony wówczas Lucas, dla zabicia czasu zaczął podpalać domy w okolicy. Schwytyany przyznał się do 40 podpaleń i został skazany na 20 lat pozbawienia wolności. Podczas pobytu za kratkami, udowodniono mu kilkanaście morderstw, przy czym on sam przyznał się do niemal 600. W 1985 roku zatrzymano także jego kompana, który w przeciwieństwie do swojego kochanka milczał, nie przyznając się do winy.

Allan Baker i Kevin Crump

Poznali się w więzieniu, w którym odbywali karę pozbawienia wolności za kradzieże i włamania. Allan

Baker i Kevin Crump jeszcze za kratami obiecali sobie, że po wyjściu na wolność połączą swoje siły i dadzą upust przestępczej naturze. Po raz pierwszy działali razem w 1973 roku, kiedy podróżując skradzionym samochodem zamordowali 43-letniego mężczyznę, który odpoczywał w aucie zaparkowanym niedaleko drogi. Wtedy po raz pierwszy poczuli satysfakcję, jaką dawało im zabicie człowieka. Kilka dni później uprowadzili 35-letnią kobietę.



Wywieźli ją na obrzeża miasta, gdzie przywiązali ją do drzewa, wielokrotnie zgwałcili i zastrzelili. Ciało wrzucili do rzeki.

Wkrótce skradziony przez nich samochód, został namierzony przez stróżów prawa. Rozpoczął się trwający kilka godzin pościg. Wówczas policja nie wiedziała jeszcze z kim ma do czynienia. Wkrótce okazało się, że uciekinierzy nie są zwykłymi złodziejami, a mordercami. Po zatrzymaniu Crump, chcąc oczyścić się z zarzutów, stwierdził, że do dokonywania zabójstw został zmuszony przez swojego kompana. Wyjaśnienia te jednak na nic się zdały – obaj zbrodniarze usłyszeli wyrok dożywotniego pozbawienia wolności.

★★★

Można by rzec „duety na medal”. Zbrodniarze wspólnie polowali na przyszłe ofiary, wspólnie pozbawiali ich życia i wspólnie zmywali krew ze swoich rąk. I choć wspólny mord miał być dla nich dziełem cementującym związek, wymiar sprawiedliwości sprawił, że ze zdecydowanych, pewnych siebie i bezwzględnych partnerów pozostały jedynie dwie zdeprawowane i pozbawione człowieczeństwa jednostki. ■

Anna Rychlewicz

Śmierć zapomnianej gwiazdy

Paweł PIZUŃSKI

Starzec siedział na schodach, nieopodal wejścia do bloku mieszkalnego, przy ulicy von Krüger w Düsseldorfie. Wyglądał jak postać z horroru. Zmierzwił siwe włosy, ręce we krwi, poplamione nią twarz i skarpetki. Zachowywał się dziwnie. Siedział w bezruchu, z zupełnie spokojną twarzą i tylko dłonie trzęsły mu się nerwowo. Sąsiedzi od razu zwrócili na niego uwagę i ktoś powiadomił policję. Podejrzewali, że 81-latek padł ofiarą napaści, ale prawda okazała się zupełnie inna. To on dopuścił się przestępstwa.



Mundurowi zjawili się już po kilku minutach. Starszy człowiek wciąż siedział na schodach przed blokiem i mówił coś niespójnie. Tłumaczył, że nie chciał, że to nie była jego wina, ale trudno było go zrozumieć. Mężczyzna nie dość, że mówił niewyraźnie, to jeszcze do tego był podпиты. Gdy podano mu alkomat, wydmuchał prawie 2 promile. Poza tym mówił z dziwnym akcentem. Policjantom wydawało się, że nie pochodzi z Düsseldorfu, lecz mieszkańcy bloku nie tylko go znali, ale wskazali też mieszkanie, w którym się zatrzymał. Mundurowi natychmiast się tam udali.

Siedmiopiętrowy blok mieszkalny przy von-Krüger-Strasse niczym specjalnym nie różnił się od innych tego typu domów w mieście. Zwykła, trochę przybrudzona elewacja, szare klatki schodowe i mieszkańcy wywodzący się z różnych grup i warstw społecznych. Obok prostych, zwykłych robotników mieszkali tutaj też ludzie z wyższej klasy średniej, ale należące do nich mieszkania niewiele od siebie odstawały. Poza metrażem i umeblowaniem, nie odbiegały od ogólnie przyjętego standardu. Co innego znajdujące się na 6. piętrze mieszkanie Elviry D. Tutaj każdy przedmiot miał swój styl, przeznaczenie i charakter. Piękne meble lśniły czystością, kosztowne bibeloty zdobiły nawet toaletę, a całości dopełniały obrazy i grafiki wiszące na wszystkich ścianach. Charakter tego miejsca najlepiej określiła sąsiadka Elviry D. Powiedziała, że kiedy przychodziła tam czasami na kawę lub herbatę, to miała wrażenie, że wkracza w inny świat.

Drzwi do mieszkania kobiety były otwarte. W przedsionku ślady krwi wskazywały, że rozegrał się tu dramat. Idąc po nich mundurowi trafili do właściwego pomieszczenia. Na podłodze elegancko urządzonego pokoju

leżała kobieta w mniej więcej tym samym wieku, co starzec, który siedział przed blokiem. Nie ruszała się, miała opuchniętą, bladą twarz i wielką ranę z tyłu głowy. Krew była wszędzie, a najwięcej na podłodze, zwłaszcza wokół głowy kobiety. Policjantom wydawało się, że staruszka nie żyje, ale wezwany na miejsce lekarz wyczuł słaby puls. Kazał natychmiast przewieźć pacjentkę do szpitala, ale było już za późno. Elvira D. zmarła zanim przeniesiono ją do karetki. Lekarze nic już dla niej nie byli w stanie zrobić, ale policjanci owszem. Wszystko wskazywało na to, że kobieta padła ofiarą zabójstwa.

Lokatorka z szóstego piętra

Wtedy, w lipcowy wieczór 2018 roku, Elvirę D. znało ledwo kilku ludzi z sąsiedztwa i chyba nikt więcej. Dla mieszkańców Düsseldorfu i Niemiec była osobą anonimową, ale w swoim czasie mówiło się o niej dużo. Zнали ją głównie ludzie z szeroko pojętego świata mody, chociaż też i znawcy kina to i owo mogli na jej temat powiedzieć. Pojawiła się przecież na dużym ekranie i choć wielkiej kariery nie zrobiła, to jednak były czasy, kiedy mówiono o niej nawet w Hollywood. Poza tym podobna się mężczyznom, bo bez wątplenia była piękną dziewczyną. To przyznać musiał każdy, kto ją spotkał. Ciemne włosy, błyszczące, modre oczy, powabny uśmiech i nienaganna figura sprawiały, że za młodu została dostrzeżona.

Była połowa lat 50. XX wieku, kiedy Elvirę, pod nazwiskiem Berndorff, wystartowała w konkursie miss Niemiec. Nie zdobyła korony, zajęła drugie miejsce. Propozycje pod jej adresem posypały się ze wszystkich stron, przede wszystkim z Niemiec. Mogła wybierać i przebierać, tyle że jej marzył się wielki świat. Myślała o Ameryce, ale

póki co zdecydowała się na Paryż. Był to przecież wtedy najważniejszy w świecie mody ośrodek kształtowania gustów ówczesnych kobiet. Mimo że początki łatwe nie były, z czasem dziewczyna z Düsseldorfu zdołała zapuścić we francuskiej stolicy korzenie.

Z początku próbowała zaczeplić się w „Vogue’u”. Przychodziła do redakcji pisma niemal codziennie i choć tam w końcu zadebiutowała, stałego angażu nie dostała. Mimo to nie rezygnowała. Pozowała dla kilku mniej znaczących pism i w końcu związała się ze słynną agencją modelek Dorian Leigh. Elvira złapała wiatr w żagle. Pracowała ciężko i w końcu nie dość, że stała się najpopularniejszą modelką w Paryżu, to jeszcze zainteresował się nią reżyser Otto Preminger.

W 1957 roku kręcił kolejny film, jednak rola, którą zamierzał powierzyć Elvirze nie była znacząca. Miała pojawić się przed kamerą, wypowiedzieć kilka słów i po chwili zniknąć. Niewiele to, ale na tyle dużo, by dziewczyna połknęła bakcyła. Kobieta zaczęła marzyć o karierze aktorskiej i między innymi z tego powodu opuściła Paryż i przeniosła się do Ameryki.

Zamieszkała w Nowym Jorku, wynajęła skromne mieszkanie na peryferiach. Pracowała jako modelka, pozując takim fotografom, jak Bert Stern, Richard Avedon i Irving Penn. Karierą aktorską zajmowała się po godzinach. W oczekiwaniu na rolę brała lekcje gry scenicznej w Actors Studio Lee Strasberga. Jej zdjęcia zdobyły pierwsze strony europejskich i amerykańskich pism, pojawiały się też w adresowanych do młodych mężczyzn kalendarzach. W obcisłych sukienkach, z wydatnym dekoltem prezentowała się naprawdę dobrze, choć bywało, że pozowała też i nago.

Na swoją pierwszą główną rolę w filmie przyszło jej długo czekać. Zaoferowano jej ją dopiero w 1967 roku, gdy na



powrót mieszkała już w Paryżu. Film był niemiecki i nosił tytuł „W twierdzy krwawych żądź”. Za niewielkie pieniądze nakręcił go Adrian Hoven i dużo w nim było nagości, krwi i seksu. Akcja filmu rozgrywała się w starym, budzącym grozę zamku. Czaiły się w nim cienie dawnej, mrocznej przeszłości i kiedy właściciel zamku, baron Brack, organizuje orgiastyczną imprezę, by uwieść młodą i piękną Elenę Lagrange, budzą się demony.

Film był oczywiście horrorem i nie wszyskim krytykom przypadł do gustu. „Zagmatwane bzdury o seksie i sadyzmie w ramach niestrawnej, kiczowatej szmiry”; „Pseudo szokujący film o zamku i dziejących się w nim osobliwych i strasznych rzeczach” – pisali niektórzy, choć byli i tacy, którym się podobał. Elvira po latach nazwała tę produkcję „gafą, która okazała się żartem”, był to jednak ostatni film, w którym zagrała. Jej aktorska kariera dobiegła końca, zajęła się więc fotografią, którą przedtem traktowała jako hobby. Pisała fotoreportaże z Brazylii, Haiti i Karaibów, które ukazywały się w wielu francuskich i niemieckich pismach.

Do tego malowała, a jej paryskie mieszkanie przez wiele lat było miejscem spotkań artystycznej bohemy miasta. Wszyscy chwaili jej obrazy, choć za plecami twierdzili, że Elvira dziwaczeje.

Rzeczywiście dziewczyna zmieniła się. Uroda przeminęła, figura zaokrągliła się, oczy straciły blask, a jej zainteresowania przesunęły się w stronę astrologii, szamanizmu i ezoteryki. Niektórych to szokowało, lecz ona traktowała to bardzo poważnie. W końcu opuściła Paryż i przeprowadziła się do Düsseldorfu, by opiekować się chorą matką. Elvira była przy niej do końca.

Wojna o spadek

Matka Elviry była majętną kobietą. Tak mówili wszyscy, którzy ją znali. Poza mieszkaniem w bloku przy von-Krüger-Strasse posiadała kilka innych lokali i sporą ilość gotówki. Zmarła w 2004 roku w wieku 99 lat i wtedy wszystko, co po sobie zostawiła przypadło według prawa trójce jej dzieci. Syn nie zgłaszał póki co większych pretensji przy podziale spadku, ale

dwie córki walczyły z sobą o pieniądze jak lwice. Elvira D. nie pozostawiła na siostrze suchej nitki. Twierdziła, że przypomniała sobie o matce dopiero, gdy przyszło do podziału spadku. Siostra nie pozostała jej dłużna. Nazywała Elvirę złodziejką i oskarżała ją, że zagarnęła lwią część spadku. Spór zaostbrał się coraz bardziej i w końcu sprawa trafiła do sądu. Wyrok zapadł w 2008 roku i przewidywał, że z masy spadkowej kobiety otrzymywać będą po 5 tys. euro miesięcznie. Orzeczenie to zadowoliło początkowo siostry, ale spór odżył na nowo, gdy o swoją część spadku upomniał się ich brat, Hermann D. Sprawa ponownie trafiła do sądu i ten rozstrzygnął, że Elvira D. z siostrą otrzymają jednorazową wypłatę w wysokości 300 tys. euro. Hermann D. poczuł się pokrzywdzony i najwyraźniej postanowił dochodzić swych praw, bo udał się do Düsseldorfu.

Brat Elviry był od niej młodszy o 3 lata i nie mieszkał w Niemczech. W 1960 roku wyemigrował do Wenezueli, został przedsiębiorcą i założył rodzinę. Wiodło mu się całkiem nieźle. Stworzył ponoć 200 firm i choć po latach jego majątek stopniał, to i tak nie mógł narzekać. Wciąż był współwłaścicielem dwóch przedsiębiorstw zatrudniających w sumie 200 ludzi. Niestety, na początku 2018 roku sytuacja w Wenezueli zmieniła się diametralnie. Nieudolne rządy socjalisty Maduro doprowadziły kraj do katastrofy gospodarczej i ludzie wyszli na ulice. Każdy, kto mógł, uciekał z kraju i o powrocie do Niemiec zaczął myśleć też Hermann D. z rodziną. Sądził, że spadek po matce może pomóc mu w urządzeniu się w nowym miejscu.

Mężczyzna przyjechał do Düsseldorfu w połowie lipca 2018 roku. Elvira D. wiedziała, że brat ma zamiar ubiegać się o swoją część spadku, powitała go więc niezbyt wylewnie. Mimo to, pierwsze dni ich wspólnego bytowania upłynęły

spokojnie, a nawet sielankowo. Rodzeństwo urządzało sobie wycieczki po okolicy, wspólnie zwiedzili zamek w Benrath oraz zabytkową dzielnicę Kaiserswerth i tak powoli oswojali się z sobą. Za dnia spacerowali i zwiedzali, wieczorami zaś wspominali dawne, dobre czasy, śmiali się i żartowali. Wszystko było w porządku, lecz kiedy tylko temat rozmowy skręcał w stronę spadku, robiło się nieprzyjemnie.

Sprzeczką zakończona tragedią

Hermann D. nie zaprzeczał, że przyczynił się do śmierci siostry. Zatrzymany wieczorem 27 lipca 2018 roku, gdy siedział na schodach przed blokiem przy von-Krüger-Strasse, przyznał się do winy i potwierdził to później przed sądem. Według jego relacji dzień 27 lipca 2018 roku zaczął się od sporu o błahostki. Elvira D. już nad ranem była podenerwowana, a gdy brat nie chciał zjeść podpiekanych ziemniaków, które przyrządziła mu na obiad, zirytowała się.

– *Dlaczego nie chcesz jeść? Przygotowałam je specjalnie dla ciebie!* – krzyknęła

– *Są przypalone!* – odpowiedział Hermann.

– *Wечно narzekasz... –* syknęła, odwróciła się na pięcie i wróciła do kuchni.

Później miała do brata pretensje, że nie nosi koszul, które mu podarowała.

– *Dlaczego nie chcesz jej założyć?* – zapytała wyciągając z szafy jedną z nich.

– *Jest zielona. Nie lubię tego koloru...* – odpowiedział spokojnie.

– *Nawet kolory ci się nie podobają* – mruknęła i ze złością wrzuciła koszulę do szafy.

Na chwilę zapanował spokój, lecz niedługo potem znowu się zaczęło. Według słów Hermanna D. pod wieczór jego siostra kompletnie sfiksowała. Robiła mu wymówki, że pije za dużo i że jest egoistą, a później spojrzała na niego z gniewem w oczach.

– *Zupełnie jej odbiło* – powiedział Hermann D. przed sądem – *Patrzyła na mnie, a oczy miała wielkie, jak bursztyny. Ni stąd, ni zowąd kazała mi się spakować i opuścić mieszkanie, a kiedy zapytałem dlaczego, żadnego powodu nie podała. Zamiast tego powiedziała mi po francusku i angielsku, że jest lwem i że mam się wynosić* – przerwał, po czym dodał: – *To wszystko przez ten jej szamanizm...*

– *Jak to szamanizm?*

– *Siostra zajmowała się ezoteryką i parapsychologią* – wyjaśnił – *Z tego powodu całkiem się zmieniła.*

– *Co stało się później?*

– *Elvira ugryzła mnie w palec, a później zaczęła się ze mną szamotać. W pewnym momencie pociągnęła za obrus i butelka z winem spadła na podłogę.*

– *Tak?* – zdziwił się prokurator – *Wynik autopsji stwierdza, że oskarżony uderzył siostrę butelką.*

– *Tego nie wiem*

– *odparł Hermann po zastanowieniu – Pamiętam tylko, że Elvira ugryzła mnie w palec, a później przewróciła się i zastygła*

nieruchomo. Pomyślałem, że nie żyje i dlatego wyszedłem z mieszkania – przyznał, choć ta okoliczność dodatkowo go obciążała.

Przecież Elvira D. żyła jeszcze, gdy wyszedł przed blok. Stwierdził to wezwany przez policję lekarz. Ustalił on, że kobieta zmarła krótko po jego przybyciu na miejsce zabójstwa, a w takim razie Hermann D. nie tylko przyczynił się do śmierci siostry, ale też nie udzielił jej pomocy. Fakt ten działał na jego niekorzyść, a mimo to obrońca wnioskuje o przyznanie oskarżonemu okoliczności łagodzących. Twierdził, że przysługują mu one chociażby ze względu na zaawansowany wiek oraz na fakt, że to on został zaatakowany. Przecież to siostra feralnego dnia była agresywna, na co wpływ miały jej ezoteryczne urojenia. Obrońca twierdził, że w istocie Hermann D. bronił się przed atakiem siostry, jednak sędziowie nie zgodzili się z tym i mieli ku temu ważne argumenty.

Po pierwsze w chwili dokonywania zabójstwa oskarżony był pijany, bowiem według wskazań alkometru miał prawie 2 promile alkoholu we krwi. Poza tym Hermann D. nie był chyba jednak tylko stroną zaatakowaną. On też był agresywny, lekarze ustalili bowiem, że Elvira D. zmarła nie z powodu jednego uderzenia butelką, ale przynajmniej kilku. Oskarżony musiał zadawać siostrze ciosy nawet wówczas, gdy leżała już na podłodze. Potwierdzały to wyniki sekcji zwłok, a w takim wypadku o okolicznościach łagodzących nie mogło być mowy.

Sąd przysięgłych w Düsseldorfie wydał wyrok w lutym 2019 roku. Za zabójstwo siostry Hermann D. skazany został na 3 lata i 10 miesięcy więzienia, przy czym ustalono, że oskarżony karę tę powinien odbywać w Niemczech. Przyczyną była sytuacja w Wenezueli, która w tamtym czasie wciąż daleka była od stabilizacji. ■

Paweł Pizuński



Multimilioner na szlaku zbrodni

Tadeusz WÓJCIAK

Multimilioner włóczęgą? Współwłaściciel nowojorskiego Manhattanu przebiera się za kobietę i kradnie w sklepie kanapkę? Ten jedyny w swoim rodzaju szaleniec miał w każdej chwili dostęp do kont bankowych z wieloma milionami dolarów. Na szlaku zbrodni do końca czuł się bezkarny.



Zgubił go nawyk samotnika: mówienie do siebie na głos. „Zabiłem ich. Tak, zabiłem ich wszystkich!” – chełpił się przy pisuarze podczas prze-
rwy w nagrywaniu programu telewizyjnego o jego życiu.

Zwłoki w zatoce

W ostatni dzień września 2001 roku chłopiec łowiący ryby w Galveston, w stanie Teksas, zauważył pakunek unoszący się na wodzie zatoki. Chwilę potem fala przyniosła ludzki tułów.

W tym samym czasie policja otrzymała zgłoszenie o cuchnących plastikowych workach na plaży. Po ich otwarciu znaleźli kończyny pasujące do tułowia. W workach - ważne ślady: ochrona ostrza ręcznej piły; dowód zakupu piły sprzed 2 dni oraz egzemplarz lokalnej gazety z adresem odbiorcy. Później fale wyrzuciły kolejny worek, w nim rewolwer kalibru 22 z kilkoma niewystrzelonymi nabojami.

Odciski palców zdjęte z odciętych rąk, porównane z komputerowym bankiem danych wskazały, że zabitym i pociętym na kawałki człowiekiem był 71-letni Morris Black, lokator mieszkania w domu czynszowym, znajdującym się pod adresem doręczenia lokalnej gazety.

Policja bez trudu wyjaśniła tajemnicę śmierci Morrisa Blacka. Sprawa była bardzo prosta: krwawy ślad, szeroki jak ścieżka, prowadził od drzwi jego mieszkania pod drzwi sąsiadki, niejkiej Dorothy Ciner. Jak zwykle nie było jej w domu. Policja przeszukała mieszkanie pod jej nieobecność. To tu bez wątplenia rozegrała się zbrodnia i nastąpiło poćwiartowanie zwłok. Wnętrze było zbryzgane krwią. Zwracały uwagę zakrwawione robocze buty oraz pokryty krwią długi nóż. Nic wewnątrz nie wskazywało na to, że mieszkanie to zajmuje kobieta.

Dorothy, czyli Robert Durst

Jak opisał policji właściciel domu, Dorothy Ciner była kobietą w trudnym do określenia wieku, osobą wyjątkowo tajemniczą, niemal nieobecną, zachowującą się bardzo podejrzanie w kontaktach z innymi ludźmi. Widziano ją w tym domu zaledwie kilka razy. Wysoka, o płaskiej klatce piersiowej, na głowie nosiła nieudolnie założoną perukę, na nosie miała połamane, poklejone taśmą okulary. Nie mówiła nic, zamiast tego pisała. Wynajmując mieszkanie wytłumaczyła na piśmie: cierpi na nieuleczalną chorobę gardła, co wyklucza porozumiewanie się głosem. Poinformowała również, że rzadko kiedy będzie korzystała z mieszkania. Podczas jej nieobecności będzie tu mieszkał Robert Durst, jej bliski przyjaciel. Właściciel oraz inni lokatorzy domu nigdy nie widzieli Dorothy i Roberta razem.

Policja wrzuciła dane Dorothy Ciner do komputerów i oto szok: kobieta o tym nazwisku rzeczywiście istniała, lecz mieszkała niemal tysiąc mil od Teksasu i nigdy nie wynajmowała mieszkania w Galveston. Znała natomiast Roberta Dursta. W latach szkolnych chodzili do tej samej klasy. I od tej pory właściwie go nie widziała.

Dorothy nie mogła więc zamordować i pokawałkować swego sąsiada. Mógł tego dokonać Robert Durst, który z sobie tylko znanych powodów przyjął tożsamość tej kobiety. Policja podjęła czynności poszukiwawcze. Ustalono, że poszukiwany jeździ srebrną Hondą SUV, zarejestrowaną na jego nazwisko w stanie Teksas. Wreszcie patrol namierzył ten samochód na ulicy Galveston. Na podłodze Hondy leżała zakrwawiona piła ręczna, stanowiąc niezbity dowód zbrodni popełnionej na Morrisie Blacku.

I oto Robert Durst w momencie aresztowania: zdjęta peruka,

połamane okulary poniewierające się na fotelu, nie w sukience, ale w dżinsach i spranej kurtce modnej firmy.

Władcy Manhattanu

Robert Durst jest jednym ze spadkobierców nowojorskiej rodziny, do której należy część Manhattanu. Urodził się 78 lat temu, jako najstarszy syn Seymoura B. Dursta i jego żony Bernice. Typowa kariera amerykańska: zaczynając od kupowania i sprzedawania małych domów, ojciec rozbudował imperium handlu nieruchomościami o wartości miliardów dolarów. Zaraz po II wojnie światowej było już go stać na wybudowanie całego szeregu drapaczy chmur na Trzeciej Alei.

Robert spędzał dzieciństwo w ogromnym przepychu, ale zawsze były z nim kłopoty. Nie znosił młodszego brata Douglasa. Chłopcy bili się często i do krwi, co w końcu zmusiło ojca do oddania ich pod opiekę psychologa. Dzięki terapii powoli zapomnieli o niewytłumaczalnej wzajemnej nienawiści. Robert pozostał jednak inny. Miał opinię dziwaka. W szkole uważano go za samotnika.

Był jednak zdolny, wybitnie zdolny. „Nadzwyczajne: to geniusz, po prostu geniusz!” – mawiali o nim profesorem w Lehigh University w Pensylwanii, gdzie młody bogacz studiował ekonomię. Kolejny etap: Kalifornia, gdzie na uniwersytecie w Los Angeles rozpoczął studia doktoranckie. Był rok 1965, sam szczyt epoki „dzieci-kwiatów”, eksplozji muzyki rockowej i wolnej miłości.

Zwyczajna dziewczyna

Robert nigdy nie zrobił doktoratu z ekonomii. W 1969 roku przerwał studia w Kalifornii i powrócił do Nowego Jorku. Trochę pomagał ojcu w interesach. Znany był z tego, że dla kaprysu wsiadał

do odrzutowca, by w już wkrótce bawić się w nocnym klubie przypadkowo wybranej stolicy jakiegoś kraju w Europie, czy Azji. W Nowym Jorku był stałym bywalcem słynnej dyskoteki Studio 54. Znał Johna Lennona i Jackie Kennedy Onassis. Jednak nie był pustogłowym dzieckiem miliarderów. Miał swe pasje: uwielbiał rzeźbić, znał się świetnie na architekturze.

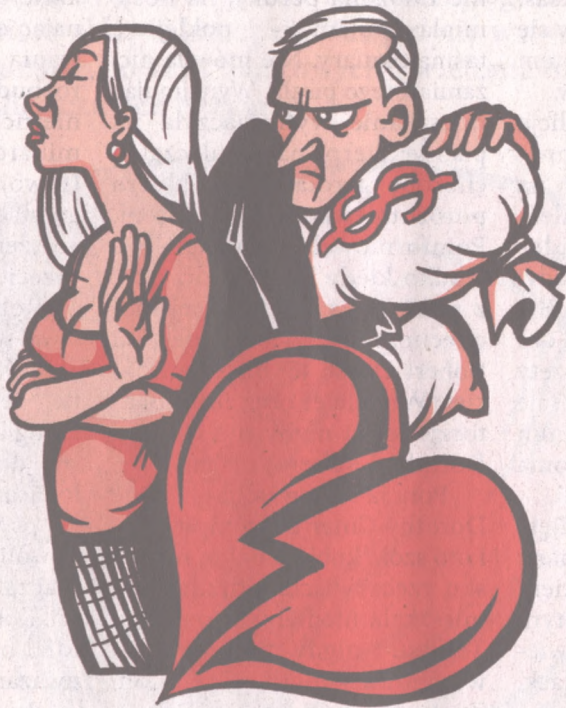
Jesienią 1971 roku nastąpił punkt zwrotny w jego życiu. Poznał Kathleen (Kathy) McCormack, piękną młodą pomoc dentystyczną, która wynajmowała mieszkanie w jednym z budynków należących do jego rodziny. Kathleen przyszła do biura z czekiem miesięcznego czynszu. Wpadli sobie w oczy i pozostali ze sobą.

Młodej dziewczynie Roberta wcale nie przeszkadzały jego dziwactwa. Szła więc tam, gdzie chciał jej chłopak, zapatrzona w niego, nie zadająca zbędnych pytań. Przenieśli się do stanu Vermont, gdzie Robert otworzył sklepik ze zdrową żywnością. Niedługo cieszył się przyjemnym hobby. Ojciec nie mógł się pogodzić z faktem, że jego najstarszy syn, absolwent ekonomii jednego z najlepszych uniwersytetów kraju, zajmuje się tak przyziemnym i niedochodowym biznesem. Przywołał go do porządku i kazał się zająć poważną robotą.

Miłość... i co dalej

W 1973 roku Robert i Kathy powrócili na Manhattan i wzięli ślub. Ustatkowany Robert wszedł mocno w sprawy rodzinnego imperium. Wraz z bratem Douglasem, pod czujnym okiem ojca, nadzorowali budowę do dziś imponujących, ogromnych

biurowców na Avenue of the Americas na Manhattanie. Był zajęty, miał pełne ręce roboty i niewiele czasu dla młodej żony. Kathy dążyła do spełnienia swych ambicji. Po studiach pielęgniar-skich została przyjęta do Albert Einstein School of Medicine, jednej z renomowanych uczelni medycznych Nowego Jorku. Nie przypadkowo dążyła do samodzielności. Wraz z Robertem mieli już za sobą beztrioskie 2 lata wspólnego życia, spędzone bez



większych zobowiązań. Żyli jak cała młodzież tamtych czasów, tylko że w dobrych, starannie wybranych miejscach, wyjątkowo barwnie i wyjątkowo rozrywkowo, trochę pijąc, dużo tańcząc, paląc „trawę”, podróżując po świecie. Po ślubie długo prezentowali się jak para zakochanych. Gilberta Najamy, ich najbliższa przyjaciółka, tak zapamiętała ich po wielu latach: „Byli miłymi, sympatycznymi ludźmi, stylem życia nie wyróżniającymi się od innych. On - kochający, troskliwy mąż. Ona kochała go ponad wszystko”.

A jednak to nie do końca było prawdą.

Robert był przywiązany do swoich pieniędzy i nie lubił

ich wydawać. Rozrzutność, na którą cierpi zwykle potomstwo miliarderów, nie była cechą jego charakteru. Chwalił się przed otoczeniem, że wraz z żoną żyją oszczędnie. Przyjaciele mogli się zresztą przekonać o tym na własnej skórze. Wykorzystywał swe układy i załatwiał dla nich stoliki w trudno dostępnych restauracjach i klubach. Na tym jednak kończyła się jego rola: gdy przychodziło do płacenia rachunku i wszyscy przy stoliku czekali, aż bogacz popisz się gestem, on proponował sprawiedliwą zrzutkę. Rozczarowywał również żonę. Nauczał ją, że błyszczenie innym kobietom mieszczańskim stanem posiadania jest w złym stylu i nie mieści się w jego normach moralnych. Nie jeździł nowymi samochodami. Nigdy nie nosił złota i drogich garniturów.

Kathy miała mercedesa i ogromne ambicje osiągnięcia w życiu swoich celów zawodowych. Chciała zostać dobrym i cenionym lekarzem-pediatrą, spędzała więc mnóstwo czasu na uczelni i w bibliotekach, a w domu otaczała się murem grubych pod-ręczników. Milczenie dwóch młodych małżonków stało się ich stylem życia, a z biegiem czasu zastępowało ciepłe rozmowy, co zaczęło się podobać obojgu. Zauważyli również, że unikają siebie nawzajem. Możliwość korzystania z dwóch apartamentów na nowojorskim Manhattanie i z domu nad jeziorem pomagała im nie widzieć się czasem tygodniami. Gdy Robert wyruszał w swoim towarzystwie na włóczęgę po barach i klubach lub uciekał samolotami na nagłe wypad-y w atrakcyjne części świata, Kathy cieszyła się, bo miała wymarzoną samotność. Gonila czas potrzebny jej do zdobycia dyplomu.



Już w ósmym roku małżeństwa taki styl życia zaowocował pierwszymi poważnymi kłopotami. Związek Roberta i Kathy zaczął przeżywać poważny kryzys. Oboje wysyłali sygnały o pomoc do krewnych i znajomych. W początkach 1980 roku po Manhattanie rozeszły się plotki, że Kathy skarży się na Roberta: jest skąpy, zaczyna ją śledzić, jest zazdrosny o jej studia, ich kłótnie kończą się bijatyką. Potem nastąpiły przykre fakty. Kathy wynajęła adwokata i rozpoczęła przygotowania do rozwodu.

Zniknęła na zawsze

Kathy zniknęła 31 stycznia 1982 roku. Nad jeziorem Truesdale w South Salem była piękna słoneczna niedziela. Wieczorem kobieta postanowiła wyrwać się na przyjęcie wydane przez Gilberte Najamy, najlepszą przyjaciółkę, w jej mieszkaniu na Manhattanie. Robert nie wyjawiał chęci uczestniczenia w tym wydarzeniu. Odwiozł jednak Kathy samochodem na stację kolejki podmiejskiej i pożegnał ją na stopniach wagonu.

W dwie godziny później, gdy Kathy bawiła się już w najlepsze, Robert zatelefonował i zażądał jej natychmiastowego powrotu do

domu. Był wściekły i nie chciał rozmawiać. Kathy nie widziała innego wyjścia – musiała wracać. Przed wyjściem z przyjęcia powiedziała swej przyjaciółce: „Jeśli zdarzy się coś złego, zajmij się tym natychmiast. Boję się, zwyczajnie się boję. Mam złe przeczucia, że on coś zrobi...”. Nie były to jej pierwsze obawy. Już kilkakrotnie wcześniej mówiła bliskim znajomym, że lęka się o życie.

Po czterech dniach Robert złożył raport o zaginięciu żony. Detektywi od razu nabrali podejrzeń. Dlaczego zgłasza zaginięcie najbliższej osoby aż tak późno? Durst miał logiczną odpowiedź: posiadają trzy różne miejsca zamieszkania, więc już wcześniej często tracili ze sobą kontakt na parę dni i nie było w tym nic dziwnego. Tym razem Kathy nie odpowiada na telefony z domu nad jeziorem do dwóch nowojorskich apartamentów. Nie wiedzą o niej nic rodzice oraz najbliżsi przyjaciele. Po prostu zniknęła bez śladu.

Na żądanie detektywów Robert przedstawił dalszy bieg wydarzeń owej niedzielnej nocy. Kathy z dużą niechęcią wróciła do domu z przyjęcia. Natychmiast po jej powrocie zaczęli się kłócić. Wpadła w gniew, wypila całą butelkę

wina i postanowiła wracać do apartamentu na Manhattanie. Na jej żądanie zawiózł ją znowu samochodem na stację kolejki. Weszła do wagonu kwadrans po godzinie 9 wieczorem. Od tej chwili już jej więcej nie widział. Nie miał żadnych podstaw, by obawiać się o jej los.

Detektywi zwrócili uwagę, że jak na męża zaginionej, w obliczu nieszczęścia Robert Durst nie ujawniał żadnych emocji. Natomiast 2 tygodnie później poinformował reportera popołudniówki „The New York Post”, że przeznacza 100 tys. dolarów nagrody za pomoc w odszukaniu żony. Jej przyjaciółki potraktowały to jako wybieg pod publiczność.

Rodzinny konflikt

Zaginięcie Kathleen Durst poruszyło opinię publiczną Nowego Jorku i pobliskiego stanu New Jersey, gdzie mieszkali jej rodzice. Jeszcze przez kilka lat na słupach ulicznych wisały blaknące coraz bardziej plakaty, obwieszczające jedną z kilku nagród za pomoc w wyjaśnieniu tragedii. Tylko Robert Durst zachował spokój. Z początku zamknął się w sobie. Przestał jeździć do pracy w rodzinnej kompanii

na Manhattanie. Wycofał się z życia towarzyskiego, nie odpowiadał na telefony, nie czytał korespondencji. Jednak już w kilka miesięcy po zniknięciu Kathy bawował w klubach, dyskotekach i kasynach Ameryki i kilku innych krajów świata w towarzystwie nowojorskiej śmietanki. W jego życiu pojawiło się kilka nowych kobiet. Jedną z pierwszych po zaginięciu Kathy była piękna Prudence Farrow, młodsza siostra aktorki Mii Farrow. To na jej cześć John Lennon, zanim stracił życie z rąk szaleńca, napisał nastrojową balladę „Dear Prudence”.

Pod koniec 1983 roku Robert Durst zaangażował się na poważnie w rodzinne interesy. Kupował i sprzedawał nieruchomości, pomnażając stan posiadania rodzinnej kompanii Durst Organization i czerpiąc z tych transakcji ogromne zyski. W 1989 roku wraz z braćmi i siostrą podjęli decyzję o sprzedaży drapacza chmur na rogu Broadwayu i 55 Ulicy. Uzyskane 30 mln dolarów podzielili równo między siebie. Za swoją działkę Robert kupił kilka budynków w rejonie Dallas w stanie Teksas.

Zaczęły się jednak kłopoty i zatargi rodzinne. Żył jeszcze Seymour B. Durst, senior rodu posiadający decydujący głos w sprawach przyszłości imperium. Przed śmiercią w 1995 roku zdążył wyznaczyć następcę. Z powodów znanych tylko sobie pominął najstarszego Roberta, obsadzając miejsce drugim z kolei synem Douglasem. Robert ciężko przeżył porażkę. Z dnia na dzień przestał przychodzić do biur kompanii. Zerwał stosunki nie tylko z braćmi i siostrą, lecz również z całym swym środowiskiem towarzyskim w Nowym Jorku. Wszyscy zrozumieli to jako naturalną reakcję człowieka z wielkimi ambicjami, który raptem stracił twarz i wołał już jej nie pokazywać nikomu z ludzi pamiętających go z lepszych czasów, gdy był pretendentem do rodzinnego tronu.

Wtedy Robert Durst zaczął kolejny rozdział swego życia. Przyjął styl zamożnego włóczęgi, który nigdzie na długo nie zagrzał miejsca. Przenosił się z Manhattanu do Dallas, z Dallas do stanu Connecticut i do Północnej Kalifornii. W 1995 roku zdołał złożyć krótką wizytę przy łożu umierającego ojca. Zrobił to pod warunkiem, że bracia i siostra opuszczą na ten czas szpital. Na pogrzeb nie dojechał.

Śmierć „córci mafii”

Sprawa zaginionej Kathy powróciła w 1999 roku. Detektywi postanowili wznowić śledztwo. Mieli w planie dotarcie do Susan Berman, w Los Angeles. Była ona serdeczną przyjaciółką, właściwie powierniczką Roberta, jeszcze od czasów jego studiów doktorskich w Kalifornii. Później zaprzyjaźniła się z jego żoną,

a gdy Kathy odeszła w tak tragicznych i tajemniczych okolicznościach, pozostała z Robertem, tak jak dawniej, w wyjątkowo przyjacielskich stosunkach. Gdy w 1984 roku Susan brała ślub, Robert prowadził ją do ołtarza, zastępując jej nieżyjącego ojca. Wśród wspólnych przyjaciół krążyły też słuchy, że Susan jest jedyną osobą, której Robert daje pieniądze. To znaczy pożyczka jej grube pliki studolarówek, na wieczne oddanie.

Raptem tragedia: w wigilię Bożego Narodzenia 2000 roku Susan została zamordowana w tajemniczych okolicznościach, w swoim domu w Los Angeles. W chwili śmierci miała 55 lat. Znalezione ją z jedną raną postrzałową głowy, w kałuży krwi na podłodze pokoju wypoczynkowego. Z początku policja potraktowała to morderstwo jako kolejny porachunek mafii. Susan była córką Davie' Bermana, owianej





mroczną tajemnicą mafijnej figury z Las Vegas. Prowadził on hotel z kasynem „Flamingo” do spółki z Bugsym Siegelem, znanym z filmów kryminalnych osławionym mafioso. Obracał się on również w kręgu Meyera Lansky’ego, słynnego szefa mafii żydowskiej. Susan zapamiętała wiele ze swego dzieciństwa, a jako dorosła kobieta chętnie pyszniła się sławą „córką mafii żydowskiej”, na czym próbowała zbić fortunę. Ponieważ jej historią nie zainteresowali się producenci filmowi, próbowała zarobić na pisaniu książek. Wydała dwie: „Lady Las Vegas”

(„Pani Las Vegas”) oraz „Easy Street” („Łatwe życie”). Choć jak mogła starała się opisać atrakcyjne życie dziewczynki żyjącej w przedsiódkach gabinetów szefów mafii, książki wywoływały mierne zainteresowanie, a honoraria nie zapewniły jej dobrobytu.

W ostatnich tygodniach przed śmiercią Susan Berman pracowała nad końcową wersją telewizyjnego serialu dokumentalnego o Las Vegas, przygotowywanego dla sieci „Arts and Entertainment”. Gdy znaleziono ją zastrzeloną we własnym domu, pojawiły się domysły, że

„załatwiła” ją mafia, w obawie o ujawnienie w tym serialu niewygodnych faktów i szczegółów. Detektywi nie uwierzyli jednak w taką wersję. Gdyby „córka mafii” znała jakieś drastyczne fakty i szczegóły, nie omieszczała by wykorzystać tych pikantności w dwóch uprzednio wydanych książkach. Policja знаła również prawdę starą jak mafijny świat: dzieci mafii, a zwłaszcza córki, rzadko kiedy odgrywają ważną rolę w życiu dorosłych. Nie bywają dopuszczane do tajemnic, a życie tajemniczych mężczyzn znają raczej od kuchennego stołu, nie zaś od skórzanych mebli w szczelnie chronionych gabinetach. Prócz tego wiele innych dzieci mafii napisało i wydało swoje wspomnieniowe książki, a żadne z nich nie straciło życia.

Haracz za milczenie

Mocniej przemawiały do wyobraźni dziwne szczegóły z prywatnego życia Susan Berman, a zwłaszcza jej wieloznaczne powiązania z Robertem Durstem. Susan była wyjątkową dziwaczką, po krótkim nieszczęśliwym małżeństwie żyjącą w swoim własnym wymyślonym świecie. Często wpadała w żelazne objęcia depresji psychicznej. Cierpiała na urojenia, lęki i rozliczne fobie. Nigdy sama nie oddała się przejść po moście, czy wsiąść do windy. Bała się otaczającego ją świata, być może spodziewała się nagłej śmierci. Okna w domu miała zabite deskami. Zawsze dokładnie ryglowała drzwi na kilka zamków, nawet jeśli ktoś z rzadkich gości wychodził na chwilę na papierosa. Bliscy i znajomi twierdzili, że większość tych lęków miała podłoże w nieudanym życiu osobistym i zawodowym „córką mafii”. Ponieważ zapowiadane filmy na podstawie jej książek nigdy nie zostały nakręcone, a książki nie stały się bestsellerami, nigdy nie miała pieniędzy. Pożyczała od przyjaciół, na wieczne oddanie,

Gdyby Adrian Nowak wspinał się jako pierwszy, to w tej sytuacji on powinien mieć u pasa klamry i młotek. Tymczasem miał tylko linę. To było niezgodne z zaprezentowaną przez niego relacją. Maciek musiał iść pierwszy. Dlaczego Nowak mataczył? To wyjaśni śledztwo.

Rozwiązanie zagadki kryminalnej ze str. 64
pt. Nieszczęśliwy upadek”

tym samym powiększając pustkę wokół swej osoby.

Pieniądze od czasu do czasu podrzucał jej Robert Durst. Wraz z Susan byli dla siebie wzajemnie przyjaciółmi i powiernikami. Łączył ich ten sam fakt z biografii: gdy byli dziećmi, ich matki popełniły samobójstwo. A także przekonanie, że świat jest zbyt okrutny, by ich zrozumieć. Dlatego nie zrażały ich do siebie niedoskonałości, błędy i pomyłki, w które nawzajem siebie wtajemniczali. Gdy Robert się ożenił, w kręgu wtajemniczenia znalazła się Kathy. Stały się bliskimi przyjaciółkami. Istnieje przypuszczenie, że Susan orientowała się świetnie w rozwoju sytuacji w ich małżeństwie. Być może wiedziała, jakie były ostatnie minuty życia Kathy. Być może chciała to zamienić na większe pieniądze, a w tym celu postanowiła szantażować Roberta? Policja doszła przecież do wniosku, że Susan poniosła śmierć z rąk człowieka, którego dobrze znała, któremu ufała. Morderca nie był włamywaczem, przyszedł do swej ofiary w odwiedziny i został wpuszczony do domu z całym zaufaniem. Jej gość nie stracił jej ufności do ostatniej chwili: dostała śmiertelny strzał w tył głowy.

Za wersją szantażu zakończonego zbrodnią w celu zamknięcia

ust przemawiał dziwny przepływ gotówki pomiędzy Robertem i Susan. Pod koniec 2000 roku jej samochód niemal rozlatywał się ze starości, napisała więc do przyjaciela z prośbą o 7 tys. dolarów na zakup używanego Isuzu. Robert milczał przez wiele miesięcy, lecz raptem w listopadzie przysłał jej czek na 25 tys. dolarów. Dołączył list, że to nie pożyczka, lecz podarunek. Na kilka tygodni przed śmiercią, gdy detektywi ze sta-



nu Nowy Jork umawiali się z nią na zeznania w sprawie śmierci Kathy, niespodziewanie otrzymała od Dursta drugi czek na 25 tys. dolarów. Podobno właśnie wtedy Susan miała powiedzieć jednej ze swych kalifornijskich

przyjaciółek: „Mam takie informacje, że wreszcie niektórym ludziom otworzą się oczy!”

W ucieczce

W momencie aresztowania w Galveston Robert Durst miał na sumieniu trzy zbrodnie. Zamordował Kathy, której zwłok nigdy nie udało się odnaleźć. Zastrzelił Susan Berman, bo zbyt wiele wiedziała o śmierci Kathy. Zabił też sąsiada. Ze względu na znaczenie dowodów za tę ostatnią zbrodnię powinien otrzymać długi wyrok, nawet dożywocie. Tak się jednak nie stało, zaś aresztowanie w Galveston otworzyło trwałą 20 lat serią dziwnych, niekiedy wprost tragicomicznych zdarzeń.

Robert Durst został zwolniony z aresztu za poręczeniem w wysokości 300 tys. dolarów. Rozprawę przeciwko niemu wyznaczono na połowę października 2001 roku. W wyznaczony dzień nie stawił się do sądu. Stał się człowiekiem ściganym. Jak zostało potwierdzone później, uciekł wpierw do Mobile w stanie Alabama. Tam kontynuował eksperymenty z podszywaniem się pod inne osoby i przebieraniem za kobietę. Używając prawa jazdy

REKLAMA

STREFA M MROKU

POZNAJ MROCNĄ STREFĘ
POLSKIEGO PODCASTU

YouTube Spotify

i karty ubezpieczenia medycznego zamordowanego Morrisa Blacka, wynajął na jego nazwisko chevroleta corsicę. Ogolił głowę, zgolił rzęsy i przebrany za kobietę pojechał do miasta Plano w stanie Teksas, gdzie zatrzymał się u znajomych. Przebywał tam prawie 7 tygodni. Potem znów wyruszył w drogę.

W ostatni dzień listopada 2001 roku ochrona supermarketu sieci Wegman's w Hanover Township w stanie Pensylwania wprost nie mogła oderwać oczu od cudacznie wyglądającej i dziwnie zachowującej się osoby. Człowiek był mężczyzną, miał na głowie źle dopasowaną brązową perukę, silnie kontrastującą z przyklejonymi sztucznymi włosami koloru jasny blond. Kamery pokazały jak chowa do kieszeni kanapkę z kurczakiem wartości 5,50 dolara. Wychodząc ze sklepu zgarnął pod kurtkę egzemplarz gazety.

Ochroniarze szli za złodziejem krok w krok i zatrzymali go na parkingu, gdy próbował wsiąść do Chevroleta. W kilka minut później przyjechał patrol policji. Gdy spytali zatrzymanego o dane personalne, bez wahania odpowiedział:

– Jestem Robert Durst.

Co z tą sprawiedliwością

Pod koniec stycznia 2002 roku Robert Durst został przewieziony z aresztu w Pensylwanii do stanu Teksas. Gdy w sądzie hrabstwa Galveston postawiono mu zarzut zamordowania 71-letniego Morrisa Blacka, odpowiedział krótko:

– Nie jestem winien jego śmierci. Zostałem napadnięty. Działalem w obronie własnej.

Odtąd konsekwentnie i do końca przedstawiał jedną i tę samą wersję tragedii w mieszkaniu ofiary. Powtarzał to w śledztwie i przed sądem. Morris Black wpadł do jego mieszkania i miał złe zamiary. Podczas kłótni



zagroził mu śmiercią. Durst wyciągnął rewolwer, aby go odstraszyć, lecz Black nic sobie z tego nie robił. Wykorzystał moment nieuwagi Dursta i rzucał się na niego. Walczyli o ten rewolwer. Podczas szamotaniiny broń wypaliła i pocisk ugodził napastnika. Mając trupa w mieszkaniu, Durst spanikował i postanowił pozbyć się zwłok. Pociął ciało na kawałki, a potem tak jak umiał maskował ślady. Umiał wyjątkowo niewiele. Do tego stopnia, że w jednym z worków z częściami ciała swego adwersarza pozostawił gazetę z adresem miejsca zbrodni.

Milioner mógł pozwolić sobie na wynajęcie najlepszych obrońców. Jednym z nich był Chip Lewis, znany adwokat z Teksasu. Przyniosło to nieoczekiwane rezultaty: 11 listopada 2003 roku Durst został uniewinniony!

Prasa komentowała wyrok jako oczywiste szyderstwo z wymiaru sprawiedliwości. Odtąd przez kolejne kilkanaście lat sprawca trzech zbrodni przemierzał Amerykę, zatrzymując się w różnych miastach, w hotelowych recepcjach podając fikcyjne nazwiska. Trzymał się z daleka od Nowego Jorku i Los Angeles, bo wiedział, że prokuratorzy w obydwu miastach

wciąż zbierają przeciwko niemu materiał dowodowy w sprawach śmierci Kathy i Susan.

Stan taki utrzymywałby się zapewne w nieskończoność, gdyby nie kolejny wybryk Roberta Dursta. W 2015 roku sieć telewizyjna HBO zdołała go namówić do uczestnictwa w filmie dokumentalnym o jego życiu, z położeniem głównego akcentu na podejrzeniach o popełnienie trzech zbrodni. Podczas nagrywania materiału Durst świetnie sobie radził z odpieraniem napaśliwych pytań o te wszystkie drastyczne sprawy. W przerwie poszedł do toalety i przy pisuarze powiedział do siebie: „Wreszcie cię mają! Oczywiście, zabiłem ich wszystkich!”. Nie wiedział, że słowa te przesyła do studia nadal włączony miniaturowy mikrofon przypięty do klapy marynarki.

To samooskarżające wyznanie przy pisuarze przesądziło o dalszych losach multimilionera. 14 października 2021 roku sąd w Los Angeles skazał Roberta Dursta na karę dożywotniego więzienia za zbrodnię popełnioną na Susan Berman. Tym razem wielkie pieniądze zdały się na nic, co przynosi pocieszającą refleksję, że sprawiedliwość jednak istnieje. ■

Tadeusz Wójciak

KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA

balkon* masonów zimna w studni	gatunek lemura szef firmy	niska, szeroka kanapa kłujący chwałost głębia morska	szpitalna sprzą- taczka	przepisy organizacji	składnik kрупnik	ptak z rodziny krukow- waty	SPF w kremach do opalenia	1	ptak lub zagłowiec	polny kwiat owoc palm
					zapinka z drutu					
długoszy ssak				uraza, niechęć prze- starzale		5	stąpienie			
	10			norma etyczna	rulonik papieru luz, od- poczynek					prymityw- ne łóżko
niedź- wiedź czarny potraw	chęćka, apetyt	pięknie prze- mawia	oko mikro- skopu	4			chwytny u małpy pełen smieci			
			cukrowa na patyku terenowe auto			omasta				
	8					resztko surowca				
niedź- wiedź na bazarze					3	lider U-2 sojusz wojskowy		uczniow- ska bumelka		lampa o trzech elektro- dach
gatunek torbacza ciasto jubilat			deszcz lub grad owad w paski				kojarzenie małżeń- stwa persona			
		7	wy- dzielony obszar			maniera, nie- natural- ność	2		koronny argument	proces niszczenia wapieni
klatka filmowa	charakte- rystyka			9	siarkowy lub mlekowy	6		jeszcze nie las		
			krawędź			fundator kościelny				

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 10 utworzą rozwiązanie.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----

cena osobli- wość	kruszec								
-------------------------	---------	--	--	--	--	--	--	--	--

ALFABETKA od N do U

Litery z zaznaczonych pól, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

OBJAŚNIENIA (kolejność przypadkowa)

- szczególny emigrant,
- nadawany za zasługi,
- wyższa izba parlamentu,
- partacz,
- zalega sklepowe półki,
- osoba kontrolująca, pilnująca,
- reprezentacyjny pokój w domu,
- rzewień, warzywo na kompot.

	N			O		P
R				•		
	■		■		■	
	■		S			
T			•		■	
	■			■	■	
U	•					•

Zimowy urok gór nie podlega żadnym dyskusjom. Ich majestat jest podkreślony przez śnieżne pola i oblodzone granie. Są piękne, majestatyczne i hipnotyzujące, ale niekiedy bardzo niebezpieczne. Nigdy nie można o tym zapominać. Nawet łatwe i pozornie proste wiosną i latem szlaki turystyczne, zimą mogą przysporzyć wielu niespodzianek. Niekoniecznie przyjemnych. To pewnie dlatego zimą góry pochłonęły już niejedną osobę, która przeceniła swoje możliwości.

Komisarz Robert Bagicz siedział w stołówce górskiego schroniska i zastanawiał się, co wziąć na obiad: kwaśnicę czy zrazy z kluskami śląskimi. Obie potrawy zapowiadały się apetycznie. Po dłuższym namyśle wybrał to pierwsze. Pyszna zupa góralska, którą przygotowuje się z kiszzonej kapusty i wieprzowiny, z dodatkiem suszonych grzybów, doskonale rozgrzewała w zimne, grudniowe popołudnie. Swoją robotę robiły też przyprawy: kminek, majeranek, pieprz, ziarenka ziela angielskiego, liście laurowe... Wszystko razem tworzyło absolutnie przepyszną zupę prosto z gór.

– *Sekretem kwaśnicy jest to, że nawet jak postoi jeden czy dwa dni, to będzie jeszcze lepsza* – zdradził mu kiedyś zaprzyjaźniony szef kuchni.

Bagicz nie zdążył jeszcze zanurzyć się w smakach i aromatach kwaśnicy gdy usłyszał dochodzące z korytarza strzępy nerwowej rozmowy... – *Musicie go ratować... Nie miałem siły mu pomóc... Może jeszcze żyje...*

Zaciekawiony, a raczej zaniepokojony urywanymi zdaniem, wyszedł ze stołówki na korytarz. Przy biurku, które pełniło rolę recepcji, stał młody mężczyzna, z liną w ręku.

– *Mój kolega kilkanaście minut temu spadł do przepaści* – tłumaczył Adrian Nowak Bagiczowi i kilku innym turystom, którzy zgromadzili się wejściu do schroniska. – *Trzeba mu iść na ratunek.*

Mężczyźni nie zastanawiali się ani chwili i zaczęli szykować się do wyjścia na szlak. Wprawdzie ktoś zawiadomił już Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, ale w takich sytuacjach liczy się każda sekunda.

Komisarz Bagicz przyłączył się do grupy, która ruszyła z odsieczą nieznanemu turyście. Może na coś się przyda. Pogoda nie była najgorsza, dramatyczna sytuacja rozegrała się – wedle relacji młodego taternika – kilkanaście minut od schroniska.

Pół godziny później, w okolicach urwistej skały, grupa ratunkowa odnalazła młodego mężczyznę. Nie dawał znaku życia. Spod kasku wypływała stróżka krwi. Profesjonalne ubranie było podarte. Nie trzeba się było domyślać, że było to efektem upadku i staczania się po ostrych kamieniach. Za pasem miał zamocowane klamry do wbijania w skałę i młotek

– *To była nasza kolejna wyprawa w góry* – opowiadał zszokowany Adrian Nowak. – *Razem z Mackiem prowadzimy hurtownię budowlaną, to Maciek zaraził mnie pasją do górskich wspinaczek. Dzisiejsza eskapada nie była trudna. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ja szedłem pierwszy, Maciek za mną... Byliśmy połączeni liną. W pewnym momencie, w połowie skały, poczułem nagle*

szarpnięcie liny, która chwilę później się zwolniła. Kiedy się obejrzałem on leżał w dole. Wołałem do niego, ale nie odpowiadał. Przybiegłem najbliższego do schroniska.

Każdy, kto kocha góry, wie jak pozytywnych emocji doświadcza się wśród szczytów. Komisarz Bagicz słuchał opowieści Adriana Nowaka, ale coś mu się nie zgadzało!

– *Przypuszczam, że przebieg zdarzeń był inny. Może pan powiedzieć, to tu się naprawdę stało?* – stwierdził komisarz.

**DLACZEGO BAGICZ
NIE UWIERZYŁ
W RELACJĘ ADRIANA
NOWAKA?
(rozwiązanie
w numerze)**



Rok 2020 w statystykach TOPR

- 606 – liczba akcji ratowniczych w 2020 roku
- 229 – akcje z udziałem śmigłowca
- 1948 – tylu ratowników brało udział we wszystkich akcjach
- 6000 – tyle godzin spędzili ratownicy ratując turystów

Statystyki poszkodowanych:

- 532 – liczba wypadków turystycznych
- 29 – wypadki taternicze
- 3 – wypadki jaskiniowe
- 12 – narciarskie
- 1 – rowery
- 27 – inne
- 2 – zbędne alarmy
- 709 – tylu osobom udzielono pomocy
- 21 – tyle osób poniosło śmierć w Tatrach
- 20 – tyle osób zginęło na skutek upadku z wysokości
- 1 – osoba zginęła na skutek choroby
- 284 – tyle osób doznało poważnych urazów
- 166 – tyle osób doznało lżejszych kontuzji
- 238 – tyle osób nie doznało żadnych urazów